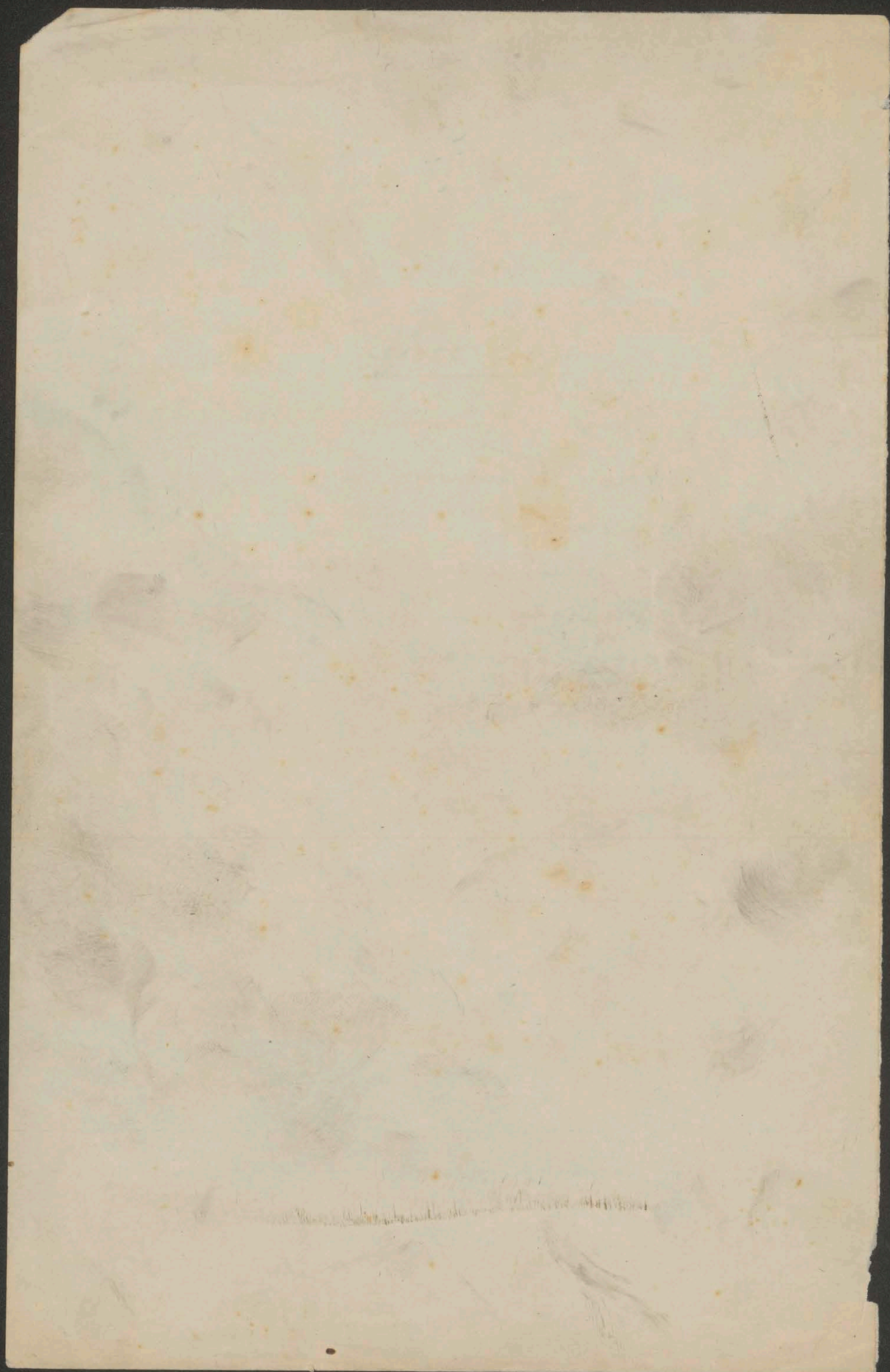


Spis rzeczy:



~~1~~ 2

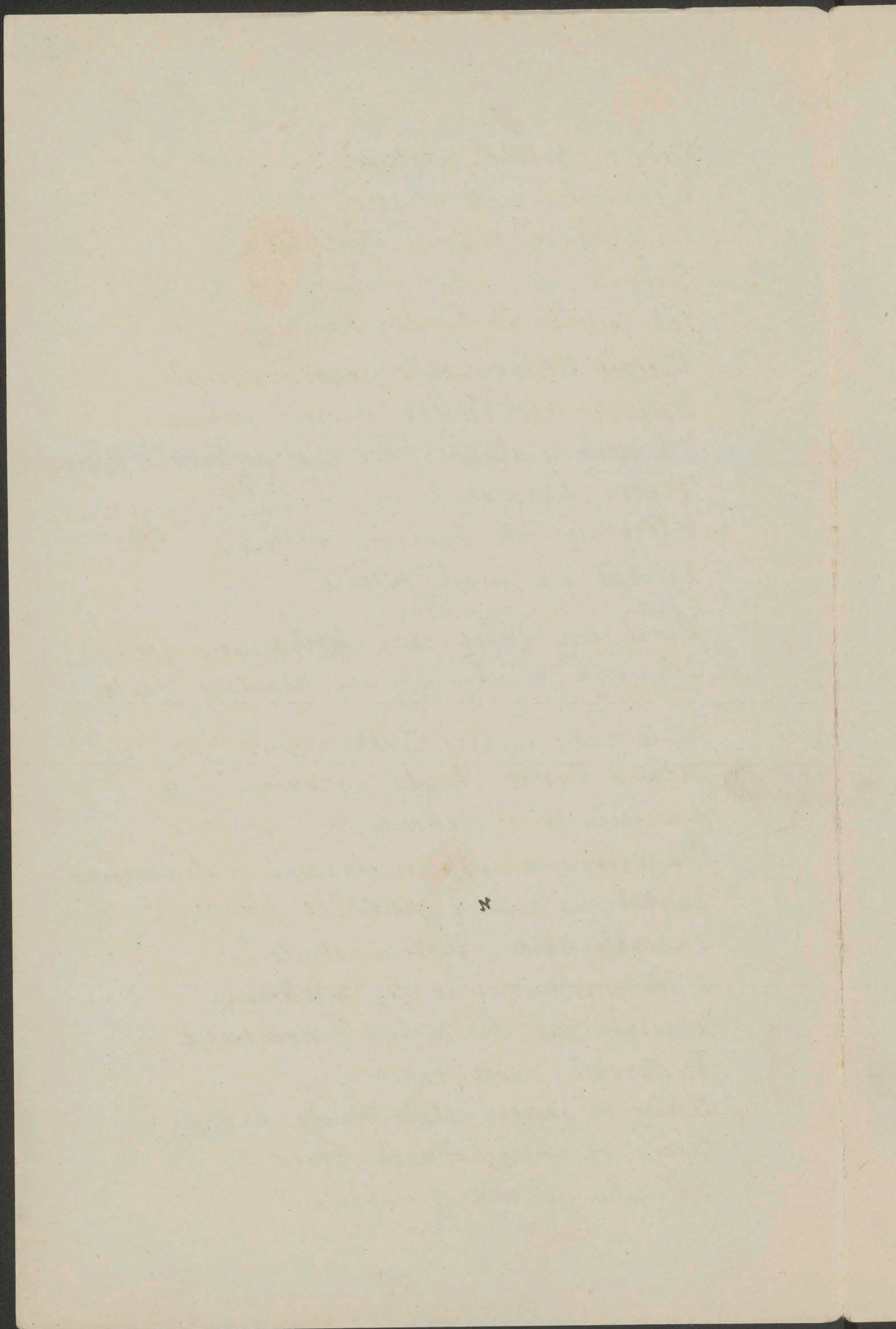
4/2 cicero
29 w. b-p.

Wieczór lipcowy był- pogodny, ciepły.
Księżyc nad Pustkę wyszedł pełnią
I z poza smreków, które w milczeniu zakrzepły,
Z poza stręczystych chmur,
Które się jak baranki wełnią,
Zajrzał na moje osiedle ...

Owiał mi duszę czar kochanych gór-
Tchnienie, o jakiem śnią prastare jedle.

W te razy zaszedł urok nowy.
Ktoś w Pustce, skryty mrokiem,
Na fujarce smrekowej,
Na dziwnym, zapomnianym instrumencie
Zagrał mi dawną nutę ...
Zadrgało serce, życiem strute-
I pod przemocnym jej urokiem
Zbaczyły mi się w tym momencie
Pasterskie moje czasy ...
Kiedy to jeszcze stały hrube lasy-
Kiedy we wierzchołkach drzew
Kołysały się orle gniazda-

Miłości pasterskie



Kiedy w uboczach rozlegał się śpiew,
Niewolący i ucho i serce
W zlęknionej czarem pasterce...
Kiedy to długowłosy gazda,
Jak pniak zbutwiały, siwy,
W pasterskiej, dymnej kolebie,
Przy czasie słoty,
Gdy, jak mgły ciężkie, snują się tęsknoty,
Objawiał słowem różne cuda-dziwy,
Z wieści i sam ze siebie...
Kiedy to na słonecznych polanach
Życie kwitnęło młode -
Rój młodzi krzepkiej ognił się przy sianach,
Dopieroż przy zabawie!
A śmiech, Pustota, w skwarnej tarzały się trawie,
Porwane przez swobodę...
I wreszcie kiedy przy zorzy wieczornej
Pastyerze woły spędzali
Zstępując z polan w gromadce honornej,
I na fujarkach grali...
A nuta szła w dół - na roztoki,
Na pola, mrokiem osnute...

I kiedym teraz usłyszał tę nutę,
Taki mię objął żal głęboki,
Bez dna, nieukojony,

Że łzom nie mogłem dać ustanku.
Coś we mnie wołało łkaniem: „Franku! Franku!
Jakby to wołał czas miniony...

Przeszedłem poprzez ten świat,
O którym tam na polanach śniłem -
Tyle minionych lat -
Walczyłem o coś - żyłem - -

Oto powracam duszą, bólem strutą...
. . . .
O nuto! dawna, niepowrotna nuto!..

Południe.

Jasiek z Zarębków wygnał woły na wierch Ceski, na polanę rozkoszną, schyloną jedną połacią do słońca, ku południowi. Stało mu się w sercu wesoło, jak zawdy, gdy tu wyganiał. Śródpołuń był. Słonko wytoczyło się z poza Jaworzyny i stało prawie nad czołem Turbacza, ciskając światło w roztoki, które się aż zapoczęły mglić od tej białości.

Powiódł radosnemi oczyma dookoła po słonecznych wierchach, po zamglonym na zachodzie widmie Babiej Góry, i oparł się aż na północy o lackie niziny, które poprzez srezogę, zbłękitniałe, wydawały się rąbkiem dalekiego morza. A coś w nich, niby igły wież złocistych, lśniło. Starzy powiadali mu, że tam Kraków...

Dumną radosną porwany, zawiódł głośno:

„Hej!... jak ja se zaśpiewam
Na środku polany —

Ej — to mi odegrają
W Krakowie organy..."

Poleciało ku wierchom — zadźwięczało po bukowym lesie — rozjękło, rozniesło się po dalszych uboczach — i Jaśkowi zdało się, że słyszy echa dobyte z niewidzianych dalekich organów. Zaśmiał się szczęśliwym śmiechem.

Zajął woły i popędził je ku południowi w cień kraju, aby się pasły. Sam zaś legł w słońcu na polanie i, sparty na łokciu, wygwizdywać sobie począł a kerpcem wytupywać jakąś melodję. Po twarzy chodził mu uśmiech, niby kółka słoneczne, spadłe z gęstwy liści, a w oczach migotały ogniki lekkomyślne, zdrajce swawoli. Bo też jeno swawolne myśli mogły się plątać po tej pysznej głowie, nijaką troską nie ściężałej.

Właśnie przyszło mu na pamięć, jak to tu na tej polanie w dzień Matki Boskiej Zielnej prasnął Józkiem, co go zwią Harnym, o ziemię — w oczach Hażbiety, pasającej teraz owce w przeciwległej uboczy, na Suchorze. I jak Ha-

żbieta śmiała się i potem już ani poj-
rzeć na Józka nie chciała.

Skąd mu sie wtedy telo tej siły na-
brało? Przecie to chłop: jak i Józek.
Od kieła roków wolaruje. A tak się
pysznił swoją siłą – widziało się, że
niema nadeń harniejszego. I ukró-
cił go.

Przywodził na oczy całą tę walkę po
szczególe: jak się wzięli próbować za
pasy, zrazu niby żartem, a potem i
naprawdę. Hażbieta stała opodal i
śmiała się. To mu dodało sił. Jak
nie zawinie – jak nie siepnie nim –
aż ziemia jękła. Spojrzał tryumfująco
na Hażbietę – ta się dalej śmiała, jeszcze
serdeczniej.

„Hej – pociesenie moje
Kany sie obraca?
Popod Obidowiec
Owiecki nawraca...”

– Zaśpiewał sobie wysokim półgłosem.
I, przechylając głowę w tęsknem zama-
rzeniu, popatrzył w stronę Obidowca –
ku Suchorze. Patrzał długo, aż mu

mgłą zaszła ubocz – a miał ją w o-
czach, jak żywą, śmiejącą się, jak wtedy.
Nagle zerwał się z ziemi.
– Cy je tyż jest? Cy tyż już wygnała?...
Podszedł parę kroków wyżej i wpatrzył
się bystro ku Suchorze. Lecz las zasłonił
polanę – nie widać owiec, ani nic. Jakby
się tu dowiedzieć... Stanął se mocno, sparł
się pod bok, odkrzypnął i zawiódł głośno:
– Ou-ho-ho-ho-ho... ho-ho-ho-hu!
Zagrało potężnie – poniesło się ku przeciwle-
głej uboczy.
Jasiek nadstawił ucha – nadsłuchował.
Niezadługo przywiało cienki głos z Su-
chory:
– U-hu-hu-hu!
Jest. Poznał jej głos odrazu. Uśmiechnął
się, jakby ją na oczy ujrzał. I z tej
radosci zawiódł:

"– Hej!... jak ja se zaśpiewam,
Jak ja se zawiede –
Usłysy mie dziewce,
Choć najdali bedę...

Mało mu się widziało – dodał:

– Hej!... jak ja se zaśpiewam –
Puscę głos po lesie –
Pozna mie dziewcyna,
Wiater ij doniesie...

Długo grało po lasach, po uboczach – a skoro ucichło doznaku, przyleciało z Sukory:

– Hej!... wtedy ja cie wtedy
Chłopaku poznała,
Kiedyś bucki ścinał,
Ja owiecki gnała...

Jaśkiem aż zatrzęsło – jakby to wiatr dunał, nie melodja tęskliwa.
– Dyć tak było. Jak sie to zda i śpiewka.
I na oczach stanęły mu te liście bukowe, na których se ją przyniewolił, i te owce białe, które ich obstąpiły jako świadki...
Dużo miłośniej i jakby głosem nie swoim zaśpiewał:

– Hej!... powiedz-że mi powiedz,
Moja kochanecko,
Z za którego wierchu
Wychodzi słonecko?

Jeszcze nie zgasły echa dźwięczne, gdy od Suhory przywiało:

– E jakże ja ci powiem,
Kie ja nie widziała –
Słonecko wschodziło,
To ja jesce spała...

Stojąc oparty na ciupadze, ustami rozchylonemi słowa miłe chwytał, i uczuł, jakoby ta melodja przyniesła mu zapach siana, na którym spała.

Nie miał już woli śpiewać. Obejrzał się za wołami. Pasły się w kraju, w cieniu buczków, okalających polanę.

Legł na ziemi do słońca i począł sobie znowu zcicha przygwizdować – ale mu nie szło. Owładnęło nim zleniwienie, zwyczajne o tym czasie. Zauważał, gdy oczyma zmęczonymi dookoła włóczył, że i woły powolniej trawę skubią – jak od niechcenia.

Słońce przetoczyło się z nad Turbacza ku Obidowcowi i stało prawie na południu. Nie grzało już, ale piekło jak płomień ogniska. Gorąco coraz większe się czyniło – skwar się w powietrzu wzma-

gał. Nawet liście buczyny poskręcały się od żaru i dygotały.

Jasiek leżał na trawie, jak na roz„ palonej nalepie. Domyślał, że dobrzeby było zniżyć się do cienia, ale ruszyć mu się nie chciało. Kapelusz jeno nasunął na czoło, oczy przymknął i trwał jak w drzemce. Ale światło przedzierało się przez powieki i parzyło go w sam mózg. Bawił się zrazu tym światłem, bo rozmaite mu się przed„ stawiało: raz białe, raz żółte, raz czerwo„ ne... Myślał przytem:

– Taką cyrwoną spodnicę ma Hażbieta. Jak z poza bucków mignie, to jakby ca„ ry jakie. Co tyż to w tem...

I teraz na samą myśl czyniło mu się słabo koło serca – jak pod urokiem. Władza go odchodziła. W gardle uczuł suchość dziwną – pragnienie nagłe, u„ przykszone – aż oddech tamowało. Dźwi„ gnął się na siedząco – popatrzył na świat – a świat mu się jakimś dziwnym wydał, jakby go coś przeinaczyło. Czary istotne... Każda rzecz ta sama, a nie ta. Liście jakieś zieleńsze – trawy złocone-

i światła, światła potoki – lić jasna...
Przetarł oczy. Woły leżą – zwiękują.
Czy to naprawdę te woły?
Zdala dobiegło żałosne wołanie Kani:
„piić!"
Dumał wstać – iść ku wodzie – ale źródło daleko, na północnej stronie. Zbaczyło mu się, że w Potoku Skalistym jest agrest; póżno dojrzewa – może już i dojrzał. Ale i tam nie blizko. Pragnienie by go odpadło, nimby doszedł.
Wyciągnął się z powrotem – gdy pragnienie przywiodło mu na smak maliny. Są we wrębie, w uboczy. Począł je w myśli rwać i smakować. Przypomniało mu się zaraz, jak to mu kiedyś Elżbieta przyniosła w podołku malin. Słodkie były... Począł wspominać to i insze – i obraz jej, jako żywy, przedstawił mu się w oczach. Leżąca na mchu wysokim, w słonecznej spiece, kusi go śmiechem, oczami i całą sobą rozkoszną...
Porwał się z ziemi – skoczył do kraja – zajął woły i miał je gnać ku Suchorze... ale pognał je na stronę północną – ku

wodzie.

Napoił woły w studzience i sam się napił. Potem siadł koło studzienki, a woły się po mlace pasły.

W cieniu nabrał rzeźkości - siły mu wróciły - dumał zatem, coby tu wymanić, bo mu się cnąć poczynało. Ścinałby buka, ale nie wziął ze sobą rąbanicy - ciupagą nic nie poradzi.

Wstał - rozprostował ręce, aż zachrzęściały w stawach - spróbował by się z kim... Ale tu po tej stronie, widać, nikt nie pasie. Huknął w dół ku roztoce - nikt nie odpowiedział.

I znowu, idąc z wołami pomału pasący, wyszedł na wierch Łeski.

Słońce posunęło się nad Suhorę - ś[r]ód wieczerz się zbliżał.

Jasiek odrazu oczy teskne ku Suhorze zwrócił, ale słońce nic nie dało widzieć. Zaledwie poprzez gęstwię wpływającego ku roztoce światła las smrekowy majaczył.

Naraz stamtąd przyleciał znany dobrze głos, jak wiater gorący z południa:

– Hej! przyjedź, Jasiu, przyjedź,
Abo przypłyń wodą –
E bo moje serdusko
Saleje za tobą.

Jasiek też wartko odpowiedział:

– Hej, podej-ze mi rącke
Na zieloną łącke –
E podej-ze mi obie
Pomówimy sobie...

I zaśmiał się w sercu. Niezadługo przywiało od Suhory, ale dużo smętniej:

– Hej!... próżno ciebie, Jasiu,
Moje ocka płacą –
Jak przyde ku tobie,
Owce sie potracą.

A on, jakby już dawno nosił w myśli radę, odśpiewał z potuchą mocną:

– Hej!... zezyń owce na dół,
Ja wołki zezynę –
Zejdziemy na dróżkę
Popod Jaworzynę...

Gdy echa pocichły, nadsłuchował pilnie. Za chwilę dopiero ozwało się, jak granie najmilsze:

— Hej!... dyć to już śródwiecerz,
Minęło południe —
Kochaj mie, Jasieńku,
Ale nie obłudnie...

Roześmiał się serdecznie, jakby ją miał przed sobą — z miłością w oczach i z tem zastrzeżeniem. I głosem, w którym śmiech drgał jeszcze, odśpiewał:

— E nie bój-że sie, nie bój,
Dyć ja przecie nie zbój —
Nie zbój, nie złójnicek,
Ino pacholicek.

Stał cicho i słuchał, czy mu jeszcze słów jakich nie przyśle. Za chwilę odzew jeno przypadł — krótki: „U-hu-hu-hu!" Zmiarkował po głosie, że mu je już z ubo„ czy przesłała. „Zgania owce" — powiedział sobie radośnie. Czemprędzej zajął woły i gnał je w roztokę — naprzeciw. Z lasu już posłał odzew.

Przedarł się z wołmi przez buczynę i gnał rzadkim lasem. Gałęzie jeno pod nogami trzeszczały, i odzywało się niekiedy w głowicach drzew gruchanie gołębi.

Przechylił się na drugą stronę zbocza i posłał odzew Haźbiecie. Narar, jakby w odpowiedzi, dobiegł jego uszu śpiew żałośliwy, cienki – od strony innej – ze Spalonego:

– Ej, nie wierz chłopcu, nie wierz,
Choćby w ogniu leżał...

Dalsze słowa straciły się w żałości. Poznał odrazu głos Tekli, którą łońskiego roku na Spalonem, pasąc z nią woły, przyniewolił sobie, a potem jej odniepadł dla Haźbiety.

Widząc, że go poznała z daleka po głosie i że jemu tak śpiewa – odrzucił z pyszna swawolnie:

– Hej, dawniej tom cie widział
Bez dziesiątą ścianę –
Dzisiak cie nie widzę,
Choć przy tobie stanę.

Na to przywiało ze Spalonego:

– Ej, pamiętaj se, Jasiu,
Staniesz na Sąd boski –
Będzie on ci, będzie,
Mój wianeczek gorzki...

Już nie odpowiedział. Natomiast wartko zawrócił woły i przesłonił się od tej strony zachyleniem leśnym. Gnał jakiś czas w milczeniu – a skoro widział, że się już dość od Spalonego oddalił – począł sobie przygwizdować dla śmiałości serca i potuchy. Już też zbliżał się ku rozłoce... Tu doleciał go – już z niedaleka – szukający go głos Haźbiety:

– Moje pociesenie,
Na który jest stronie?
Cy na ty, co i ja,
Cy sie ze mną mija?...

. . . .

. . . .

Słonko już dobrze schowało się za wierch Tobołowa, i mrok zakradał się w rozłoki, gdy w uboczy pod Suhorą zadźwięczało przy smętnym turlikaniu owiec:

– Hej!... już sie zachmurało,
Kany świtać miało –
Już moje kochanie
Z wiatrem poleciało...

A od Spalonego poniosło się żałośliwe śpiewanie ku Cesce:

— Hej!... bodajby cie było
Na świecie nie było -
Nie widziałabych cie,
Nie żal by mi było...

17 A Jasiek ze Żarębków gnał napasione woły ku kolebie i przygwizdował sobie — po twarzy przebiegał mu uśmiech lekkomyślny, a w oczach migotały ogniki swawolne.

Jak Józuś chciał,
a jak mu wyszło.

Józuś, Miecusiów syn, z pod kal od Dunajca, ukończył szkoły w Krakowie i na wakacyach w chałupie u ojców bawił. Nie wiedział jeszcze, gdzie się na przyszły rok obróci -: czy na doktora pójdzie, czy na księdza, czy też na sędziego. W domu najbardziej by radzi byli, żeby na księdza poszedł. Nie powiedzieli mu dotąd wyraźnie, ale ze wszystkiego miarkował, że tak myślą; matka już drugi tydzień na tę intencyę nowennę odprawiała.

Józuś do żadnego stanu wyraźnego powołania nie czuł, najmniej zaś do duchownego; ale czuł, że się oprzeć nie potrafi, skoro go poczną nakłaniać... Zmęczoną głowę miał po ośmiu latach nauki, i najchętniej niczem by się nie zajmował, jak oto w tym czasie. Całymi dniami wałęsał się bez celu, wysypiał się w sadzie do słonka i chodził między ludźmi osiedla jak śpiący. Tyle, że czasem do kościoła,

przez matkę przynukany, poszedł, księ-
dza proboszcza odwiedził - ale i to czynił
bez ożywienia, jak w śpiączce.

Matka przepomagała się, by mu jeno
w jedzeniu dogodzić; jajeśnicę mu co
rano smażyła, zacierkę z białej mąki na
mleku gotowała, poddawała mu, co mo-
gła; i Józuś wnet stracił bladość przynie-
sioną z miasta, przybyło go na gębie,
wyglądał, jak rydz bukowy.

A że w próżnowaniu i przy dobrem ja-
dle zwykły różne myśli przychodzić do gło-
wy, - więc i Józusiowi przyszła myśl:
pójść ku szałasom, na hale... Zbaczyły
mu się owce, siano, pasterki, śmiejące
się takim śmiechem, który aż łaskocze...
Tu pracujący ludzie przeszkadzali mu -
tam mu już nikt nie przeszkodzi.

Najbliższe szałasy były na hali Cho-
chołowskiej. Tam też Józuś poszedł.

Pasterze i pasterki przyjęli go ochotnie,
bo znali go od mała - niejedno lato z ni-
mi pasał. Po paru dniach oswoili się
z nim, i Józuś wodził się z pasterzami
jak za dawna.

Znużenie opadło z niego, jak kurz, gdy
wiatr zdmuchnie. Nie na marne też

wyszły podbiady, dawane przez matkę.
Ku pasterkom się z przyśmiechami zwra„
cał - te zaś prześmiewały się z jego nauki.
- Tyle-ś casy w tych skołach był, i coż cie
naucyli? śpiewki-eś pozabacował...
- To se przybacę - starał się mówić w ich
sposobie.
- Może w seminaryi? Tam by ci dali!
Msę świętą karą ci śpiewać...
- Coż to zawadza?
- a to, że teraz ci już o świeckich rzecach
nie trza myśleć.
- Widzis, zebraku, ani na weselu nie bees
mógł iść, ni na drużbę...
- A das mi, Józuś, ślub, jak księdzem
ostanies?
- Dam ci, z jaką paradą! ino pocekaj.
- A kie-ż to bedzie? Za rok, dwa? Bo mi
sie śpiesy.
- Coż ci tak pilno?
- Gadaj mu ta o tem, kie on już jak
ksiądz. - Jakże ty zebraku wytrzymies? Tak
całe życie bez grzychu...
- Haj? od cegoż gospodynia? - pytała insza.
- Kie Józuś ta nie taki... On już dziś
jakby wyświęcony. Ino mu kółko na łbie
wystrzygz...

– Wiera tyz bedzie ksiądz z ciebie! Ino tu prymicye zrób, pamiętaj, coby my sie wy-tańcyli...

Józuś wstydził się tego przyszłego księ-drostwa. Chciał im koniecznie pokazać, że on nie taki święty, jak myślą.

Najuparciej prześmiewała się z niego Kundzina Jewka od Królów. W zamian za te jej ~~prze~~ prześmiechy począł ją śmia-ło słowami napastować. Nie gniewała się o to bynajmniej; to też Józuś ośmielił się tak, że gdy jednego popołudnia przyostali na chwilę sami na polanie, zagadnął prosto:

– Kaz ty legas?

Wiedział dobrze, że nocowuje przy kopach na sianie.

– E! – przedrzeźniała – Coześ taki ciekawy?

– Bo bych przysed ku tobie.

– To przydź – kto ci broni?

Józuś uszom swym nie chciał dowierzać.

– Naprawdę byś mnie przyjęła?

– Jakze? Dy nie na śpas...

I zaniosła się śmiechem, który Józusia więcej niż słowa przekonał. Jak to dziwnie łatwo! – pomyślał sobie w radosnem zdzi-wieniu – że ja też, głupi, nie wiedział...

Przez cały ten odwieczerz miejsca se nie mógł nalesć z niecierpliwości krwi, myślą pokuśną rozgrzanej. To do koleby zabiegał, to z pasterzami po hali się wodził, to za owcami uganiał - a wszędy za nim szedł śmiech Jewki, raje obiecujący. Na samą myśl tych rajów aż Józuś omglewał w ciele.

Nigdy dotąd podobnego uczucia niedoznawał. Choć miewał już różne. Kochał się w błękitnych pannach, spotykanych na nabożeństwach majowych, potem w kulawej córce pani, u której dwa roki mieszkał: były to miłości straszne - do „aniołów”; myślą bał się ich sukien dotykać. Później czystość swoją tracił w ofierze Lilith nieznanej, nago już w marzeniach śmielszych widywanej, aże stracił ją zupełnie w jakiejś ohydnej miejskiej norze, gdzie go po maturze pijanego koledzy zawlekli. Prześladowało go to przypomnienie, lecz jako sen przykry, niewyraźny. A oto teraz, tej nocy, ma się stać rzeczywiście, o czem śmiał śnić jeno... I to naprawdę! bez żadnych ocyganień! Józuś! czy ty nie zwarjujesz pierwej! - mówił sobie.

Miał wciąż na oczach Jewkę: jej

postać krzepka, o twarzy ciemnej, przez którą ogień krwi przeświecał, z iskrami oczu, z rzędami białych ząbków; o włosach czarnych, splecionych w długie warkocze, i piersiach, wyraźnie wzdymających katankę we dwa wzgórki... Aż oczy mgliły mu się na myśl o tych wzgórkach - odsłonionych.

Wyobraźnia rozpalona nawodziła mu na zmysły obrazy noclegu, jaki chyba bogowie pogańscy mieć mogą. Z Jewką - przy kopie - na sianie!.. Wszystko wobec tego wydawało mu się nudnem, nie warte jednej uwagi. Całe życie jego dotąd nie miało - widział - sensu. Bo to się trudził lat tyle, po to się uczył łaciny i greki, by oto zrozumiał wreszcie, iż jedno jest dobro, jedna mądrość: ujrzeć się z Jewką na sianie.

Nadszedł wieczór. Józuś i wieczerzy jeść nie mógł - telo szczęściem czuł się napasiony. A wieczerzali pospólnie w kolebie. Za Jewką jeno oczami wodził, chwytał jej śmiech każdorażny, jej spojrzenia - chciał się już upewnić w sercu, bowiem, im bliżej czuł się obiecanych rajów, trwoga go napastowała.

Wnet po wieczerzy poczęli się pasterze rozchodzić na spanie - każde do swoich kóp.
Józuś ze drżeniem zbliżył się ku Jewce.
- Jakże będzie?
- Z cem?
- Ze spaniem... Cy mam przyjść ku tobie?
- Jak ches - zaśmiała się. I, zaodziawszy chustkę, poszła na halę wyżnią, gdzie nocowywała.
Józuś został w kolebie, ze starym Szymkiem, z którym tu legiwał. Skoro po jakimś czasie Szymek zabierał się do spania i klęknął do pacierzy, Józuś skierował kroki w pole.
- Pójdę wyjrzeć na miesiącek, czy wyszedł - rzekł w progu. Czuł tym razem potrzebę wytłómaczenia, dlaczego wychodzi. Szymek nie odrzekł nic, mówił pacierz.
Halą wyżnią nazywano skrawek równi w końcu hali, wyżej położony. Stamtąd widok był otwarty na wschód i na zachód. Tam Józuś skierował kroki. Idąc, dygotał całem ciałem, choć wieczór był ciepły - wzruszenie, nieznane dotąd, trzęsło nim, jak złodziej gruszą.
Skoro na halę wyszedł rozejrzał się z uwagą, by nie zmylić. Księżyc wycho-

dzący ledwo rozwidniał polanę. Na środ-
ku stało kilka kóp. Poboku jednej doj-
rzał posłanie i chustę ciemną. Zbliżył
się z dygotem serca.
– To ty Jewciu? – szepnął, stając nad posła-
niem.
– Ja. Coż ces?
– Przysedech ku tobie.
– To ląz.
Józuś czuł się, jakby go do nieba wpu-
ścili. Rozpatrzył się po posłaniu i legł
skraja, obok Jewki. Chwilę spoczywał cicho.
Zbierał w sercu odwagę, oswajał się z rze-
czywistością. A bokiem z ciekawością po-
zierał na Jewkę. Leżała na wznak, chust-
~~stka~~ ką owinięta, twarzą ku niebu.
W pobrzasku miesiąca widział jej przy-
ciemniałą twarz, oczy otwarte, wpatrzone
w gwiazdy, błyszczące. Wydała mu się ja-
kąś inszą, poważną, prawie że surową. Onie-
śmielenie poczęło ogarniać Józusia, gdy
patrzał w nią, tak w niebo wmyśloną.
– Gwiozda spadła... – szepnęła.
Józuś spojrzał na niebo za jej wzro-
kiem. i znów ku niej powrócił oczyma.
Nieznacznie przysunął się. Dygotał jak
w febrze.

– Cy ci zimno? – spytała.
– Nie....
– Tak się trzęsies. Może ci dać trok chustki?
Odwinęła chustkę. Józuś podjął trok i skwapliwie się przysunął.
– Cieplej ci?
– Cieplej.
– To śpij. abo patrz na gwiozdy. Widzis, co ich hań... Jak iskry rozsiane. Więkse, i mniejse, i mało co widne... O – jak się mienią... Z cego one tyz bedą? nie wies? co? Jak was tam w skole ucyli?
– To są światy, takie, jak nasa ziemia...
– Głupi... światy... mniejse od śpilki.
– Bo daleko, to się widzą małe.
– Dzieciom gadaj se takie bzdury, nie mnie.
Jednak ciekawe słowa Józusia nie dawały jej spokoju; myślała o nich, zapatrzona w gwiazdy... Józuś zaś nie miał ochoty wykładać jej astronomii. Chciał, by teraz o jego szkołach zapomniała, by brała go jak pasterza.
– To ucą, ze tak daleko...– rzekła po chwili.
– Co ci ta o to... Śpijmy lepiej.
Przysunął się ku niej poufale.
– To śpij. Cy ja ci bronię? – odsunęła się –

Mas dość miejsca.
– Kie ja chcę z tobą...
– Dyć ze mną śpis.
– Ale...
– Co za ale? Jak ci nie dobrze, to idź.
Patrzyła dalej ku niebu, a Józuś, onieśmielony, pozierał na nią i czekał. Oczy jej pomału zaczęły się zwężać – sen ją nachodził.
– Jewka...
– Co?
– Jewciu...
– Dyć słysę.
– Jewusiu...
– Coż ta jesce? Śpij, bo juz cas.
Józuś nabrał w serce odwagi, wyciągnął rękę pod chustę i sparł dłoń na jej piersiach. Nie broniła mu, spytała ino:
– Musis tu rękę kłaść? Nie uśnies inacy?
A Józuś, czując pod palcami wzgórki ciepłe, wznoszące się oddechem, rady sobie już nie mógł dać. Począł dłoń rozpaloną w zamroku pożądania przesuwać po jej młodem ciele. Ujęła mocno tę dłoń jego i odepchnęła.
– Leż spokojnie – rzekła ostro.
Ale Józuś już na nic nie dbał. Pło-

mieniał cały pragnieniem. Ośmiałości
strasznej nabrał: Przecie go sama woła„
ła... Cisnął się rozpalonem ciałem ku
niej. objął ją mocno rękami i począł
szeptać słowa urywane: prośby, tkliwości,
zaklęcia...
Krótko to trwało. ani pół pacierza.
Porwała się, odwinęła się z rąk jego niby
z trawy leśnej i odrzuciła go na siano, jak
smętla słabego.
– Coż tobie się bazy, moi ludzie? To cię
tego tam ucyli?! A spytałeś się mię choć,
cy cię kocham?
Poczem złagodziła nieco:
– Jakbych cię kochała, to co insego. Ale
co ty wies o tem.
Józuś ledwo się osatał ze zdziwienia
przykrego i z upokorzenia.
– To po co-ześ mię wołała na siano? – rzekł
w gniewie.
– Na sianie kazdy spać moze. Miejsca
dość. I nikt nie broni... Ale widać juz,
ześ miasto przesed... No ląz-ze, ląz-do„
dała pobłazliwie – nie smuć się...
Ale Józuś ani myślał ostać. Porwał
się w złości z posłania, poszedł po pola„
nie aż na drugi koniec hali, tam długo

siedział na pniaku i różne myśli prze-
żywał.

Skoro, Józuś, późnym już czasem wcho-
dząc do koleby, skrzypnął drzwiami,
Szymek stary podniósł kosmatą głowę
z posłania, i, rozespany, spytał:
– Jakoż ta ten miesiącek... wysed?

Schronisko.

Zbliżeniem swem spłoszyli dwoje ma„
łych ptaszął; wyfurgnęły z gałęzi i u„
siadły wyżej.

— One sie też schroniły do cienia — po„
kazała z uśmiechem pasterka.

— A jakże… — przyświadczył, łowiąc
oczami jej uśmiech.

Zarumieniona, odchyliła głowę. Mil„
czeli oboje chwilę.

— Żeby ja tak mógł… — począł pasterz
i urwał.

— Co, żebyś tak mógł?…

— Żeby ja mógł mieć taką moc, jak
to drzewiej miewali niektórzy… że co„
bych se pomyślał, to by sie mi stało…

— To cobyś se pomyślał?

— To, co i teraz…

— A co se myślisz teraz?

— Zgaduj…

— Nie chce zgadować.

Znów odchyliła twarz zarumienioną.
Krążek słońca z pomiedzy liści padł
na jej włosy, i ozłocił je. Pasterz pa„
trzył w zadumieniu, jako na świętą
z obrazka. Trwali w takim bezruchu
czas jakiś.

– Oj świecie, świecie! – westchnął wreszcie głęboko, z dna serca.

Zwróciła oczy zdziwione ku niemu i, gdy wyczytała z oczów jego przyczynę onej ciężkości, uśmiech figlarny na twarz jej wykwitnął.

– Cóż ci ten świat tak ciąży?

Nie odpowiedział, jeno się wpatrzył w nią osmętnie z miłosnem pomiewoleniem.

Światła wbiegały na jej twarz i nikły, na próżno siliła się na zwykłą spokojność. „Cóż znowu?" – karciła się, zła sama na się za ten niepokój oczywisty. Ale serce się tłukło uparcie; bladła na myśl, że on je tak samo słyszy.

– Cóż tak patrzysz?...

Siliła się powiedzieć spokojnie. Lecz głos jej własny zdał jej się tak obcym, jakby go nigdy nie słyszała. On wpatrywał się dalej. „Nic nie pomoże, trzeba coś wymyśleć." Podsunęła jej sposobność:

– Jakie te ptaszki śmieszne... – pokazała na kraj.

Dwoje onych małych ptasząt, któ-re poprzednio wyfurgnęły z kraja, wró-ciły znowu na dawne swe miejsce i wieszały się po gałązkach, szepleniąc przytem coś do siebie.

— Nie wiesz — spytała — jak się nazywa-ją?

— Nie wiem... Czy się to muszą nazy-wać? Ochrzcij je sama...

— Jedno ma czubkę czarniawą na gło-wie. To będzie on... A ona zaś ma korale pod szyją. To on będzie czu-baty, a ona koralinka. Cóż, podoba ci się?

— Podoba... — odrzekł z uśmiechem, my-śląc o innej ptaszce.

— Patrz! Patrz! Wywiórka!..

— Co też ty jeszcze nie wynajdziesz...

Poprzez liście widać było owo cisawe stworzenie, patrzące z ciekawością ku nim, w ruchu postrożnym, trzema łapkami wsparte na gałęzi, czwartą sięgającą wyżej, na pniu buka, gotowe każdej chwili do wyśmigu...

— Nic się nie boi...

Pasterz sięgnął opodal po szyszkę.

— Nie ciskaj. Co ci wadzi?
Posłusznie upuścił szyszkę.
— Widzisz, spłoszyłeś ją. Takie to ładne.
— Może ci ją dostać?
— Po co... I tak byś jej nie dostał...
— E? Założymy się!
— Nie chcę.
— Żeby jej nie dostał! — mówił urażony — chybaby skrzydła musiała mieć... Albo w jakim gęstym lesie...
— Cicho-no! Widzi mi się, że zagrzmiało...

Zmilkli. Pasterz spojrzał do góry.
— Z jasnego nieba? Bajanie!..
— Zdawało mi się...

Jednak, mimo tych objaśnień, jakiś cień przesunął im się po sercach, życiem dyszących, jakby poprzed słońcem przeleciał czarny ptak nieznany; i chwilę trwali w milczeniu, nim się ich dusze rozpogodziły na nowo.

Łatwo to przyszło, bo zewsząd wiały ku nim: radość, wesele, swoboda. Gdzie pojrzeć — wszystko kwitnęło, dyszało życiem pełnem, beztroskliwem, i radowało się słońcu. Ptaszki one dwa

nie odstępowały kraja, trzepotały się po liściach i gwarzyły bezustanku jakąś przymilającą się gwarą. Wiewiórka znowu, przyośmielona bezobawą ptasząt, wróciła na bliższe drzewa i szmerzyła się, śmigając z gałęzi na gałąź dla wprawy. Nawet te liście bukowe, prześwietlane słońcem, miały jakąś radość w sobie, która się udzielała oczom, patrzącym na nie z pobliża.

— Jak też to tu wesoło! — rzekło dziewczę.

— Hej... — przyświadczył pasterz.

— Nic sie tu nie cnie.

— Samemu by sie cnęło... jak i mnie nieraz, kiedych sam pasł...

— Ni mogłeś ku mnie przygnać?

— Czy ja wiedział, żebyś mi była rada?

— Ej ty... nie wiedział...

— Ja i dziś poprawdzie nie wiem...

Śmiała się głośno, żeby zagłuszyć słowa niepotrzebne.

— Słusznie nie wiem... — przymawiał.

— Patrz-no, patrz-no, jaka ta wywiórka śmiała! Na ostatni kraj

0

gałęzi przyszła...

I tak patrzenie na cuda i patrzenie na się przeplatali gwarą zręczną, jak przewijania wiewiórcze. Czasem troska o woły ich nadlatywała.

— Ha one też tam... Trzaby wyjrzeć...

Ale jedno drugie wstrzymywało, i tak im chwile leciały.

Słońce coraz mocniej piekło; nawet przez liście buczyny żar się do cienia przesączał... Gorąco przypołudnia rozleniwiało siedzących — polegli plecyma na trawie, i rozwartemi oczami patrzyli ku niebu.

— Co też to tam jest... to niebieskie?

Dziewczę nie lubiało patrzeć nie mówięcy.

— Nie wiesz to? sklepienie...

— Ja wiem... ale z czego?

— Tego nikto nie może zgadnąć.

Patrzyła jeszcze chwilę z pobożnem zastanowieniem, wreszcie, westchnąwszy w bezradzie swej myśli, zwróciła oczy od światła.

— Cosi się chmurzy od zachodu.

Podniósł głowę i pojrzał.

71
110

— Daleko...
— Ale że też to chmury wsze z boków przychodzą... Mogłyby z nieba słazić — no nie? Mogłoby też i bez chmur lać... skoro Pan Jezus deszcz daje... Ale tu pewnie płanetniki mają swoją moc...
— Chmury od morza przychodzą. Tak mówił stryk. Naprzódy lecą nad morze — nassią sie wody, nassią, i potem wracają z deszczem...
— Ale skąd sie tu biorą naprzódy?
— Czy ja wiem!.. chyba ze mgły...
O to-m sie stryka nie pytał. A może i on sam nie wie!..
Zadumali sie przy tem oboje, zgadując se różnie w myślach, choć bez żadnego uwierzenia, izby mogli, zwłaszcza w takiej materyi jak mgła, dojść do oczywistej prawdy. Jak stryk nie wie...
I wnet myśli umużone rozemgliły sie w odczucia niejasne, w pragnienia dusz niedźrałych a wsze jedno sklepienie nieba widujących.
— Jaki też to ten świat... telo krajów... Czyby też z najwyższych Tater jaki kraj

uwidział? Musi być widać daleko...
A na kraj świata - czy też tam kto doszedł? Ratunku!..

Cofnęła się myślą w strachu, jak przed widokiem otchłani. Po chwili zamyślenia:

— Chciałabych hie uwidzieć morze... ale nie zbliżka...

— Jaby zaś chciał uwidzieć, jakie to te cieplice, kany ptaki na zimę odlatują...

— Mówią, że jest taki kraj, co figi na drzewach rosną...

— A jest... Jest też i taki, co słonko nigdy nie zachodzi...

— Czy oni też tamci o nas wiedzą?

— Ale! Co im ta naski kraj, jak oni mają takie cuda...

— Pewnie... co im ta o nas... - przydała ze smutkiem.

Pomilkli i kołysali się marzeniem o tych dalekich krajach-cudach.

— Ej, żeby też to kiedy... tam pojechać — wypowiedziała nieśmiało.

— Ja cię wezmę.

Roześmiała się w twarz tej gotowości,

wyzierającej z óczu jego. Zabolało go to mocno.

— Cóż się śmiejesz? — rzekł z wyrzutem — Czy ja to zawdy będę pasł? Jeszcze z rok, ze dwa, a potem...

— Co potem?

— Będziesz widzieć! I za morze ludzie jadą, a... jadą i... wracają...

Chciała mu jakoś to bezwolne zranienie nagrodzić, więc spytała z przymileniem:

— Naprawdę byś mnie wziął?

— Jakże? przecie nie na śpas...

Podziękowała mu pięknie oczyma za tę ochotność gotową, i pogoda stanęła znowu między nimi. Nie myśleli już o dalekich krajach i nie zazdrościli im niewidzianych cudów.

— Niech se ta mają, co chcą, kiedy nam tu dobrze.

— Hej...

Zgodzili się oboje na jedno. Patrzeli na się leżęcy i chciwie choć pokryjomu wypijali se z oczów szczęśliwość. Po twarzach ich, zaognionych gorącem i upojeniem, chodziły złoci

str. 41

ste kółka, z pomiędzy liści buków padające, i staczały im się co chwila na oczy; więc uchylali je od światła i uśmiechali się, jak dzieci, tej słonecznej psocie.

- Szmer się jakiś uczynił u kraja.

— Cóż to? - szepnęło dziewczę.

Podniósł się pasterz i popatrzał.

— To ta wywiórka tak szmerzy... Luszcza szyszki smrekowe, co se naznosiła... Niema bukwi tego lata - rzekł, przychylony ku niej, a myśli sobie: „Co też to w tych oczkach siedzi..."

— Nie patrz tak, bo mnie urzekniesz - zaśmiała się.

— Tyś mnie już dawno urzekła...

— Nie pleć. Jaka też to trawa... - rzekła, aby coś powiedzieć.

— Kany?

— I tu! i tam! i wszędy!...

Zerwała się swawolnie i zdziwionemu śmiała się w twarz, mówiąc oczami: „Pocałowałabych cię za to, żeby..."

W te razy zagrzmiało w dali. Oboje zcichli, nasłuchując.

— Kanysi bardzo daleko...

— Będzie deszcz z tego gorąca.
— Trza do wołów... — poradził pasterz z powagą.
— No... Kto kogo przegoni?
Puścili się pędem ku wierchowi — poprzód pasterka, za nią pasterz. Dopędził ją przy wierchu i objął ramionami.
— A widzisz... mam cię... teraz-eś już moja!
— Puść... — zatchnęła się powietrzem.
Uwolnił ją posłusznie — i poszli obok siebie, dysząc głośno. Stanąwszy na wierchu polany, rozejrzeli się. Na zachodzie noc się czerniła. I znowu przeszło ich serca uczucie, jakby ptak słońce przesłonił. Ale to jeno na moment. Słońce grzało jak poprzód — większa połać nieba była jasna — ziemia pogodą jaśniała...
Uśmiechnęli się sobie i poszli za wołmi.

II.

Zapowiadana tłumionym przez oddal łoskotem i wyprzedzającemi zgęstniałą, murem sunącą noc wieśćmi-chmurzycami, które jako anioły grozy pędziły zaognione z włosami rozwianymi i rozczapierzonemi dłońmi, zbliżała się burza...

Słońce od wieczerza zatopiło się z całym swym jasnym przybiorem i oświetlą od niego bijącą w gęstej, jak ołowiany staw, chmurze — na ziemię spłynął cień i przestrzenił się możnie coraz dalej.

Od tej dalekiej nocy-burzy, kotłującej się, wrącej i wydającej, jako potworny, kołtuniasty zwierz, pomruki głoźne i głuche poryki, szły ku wierchom zmroczniałym i ochylającym je znędzniałym lasom posłańce różne, zapowiedzi...

A więc naprzódy chuchnął dech gorący, od którego duszność ciężka

osiadła w naturze całej i zleniwiła ją, jako zaraza wdychana.

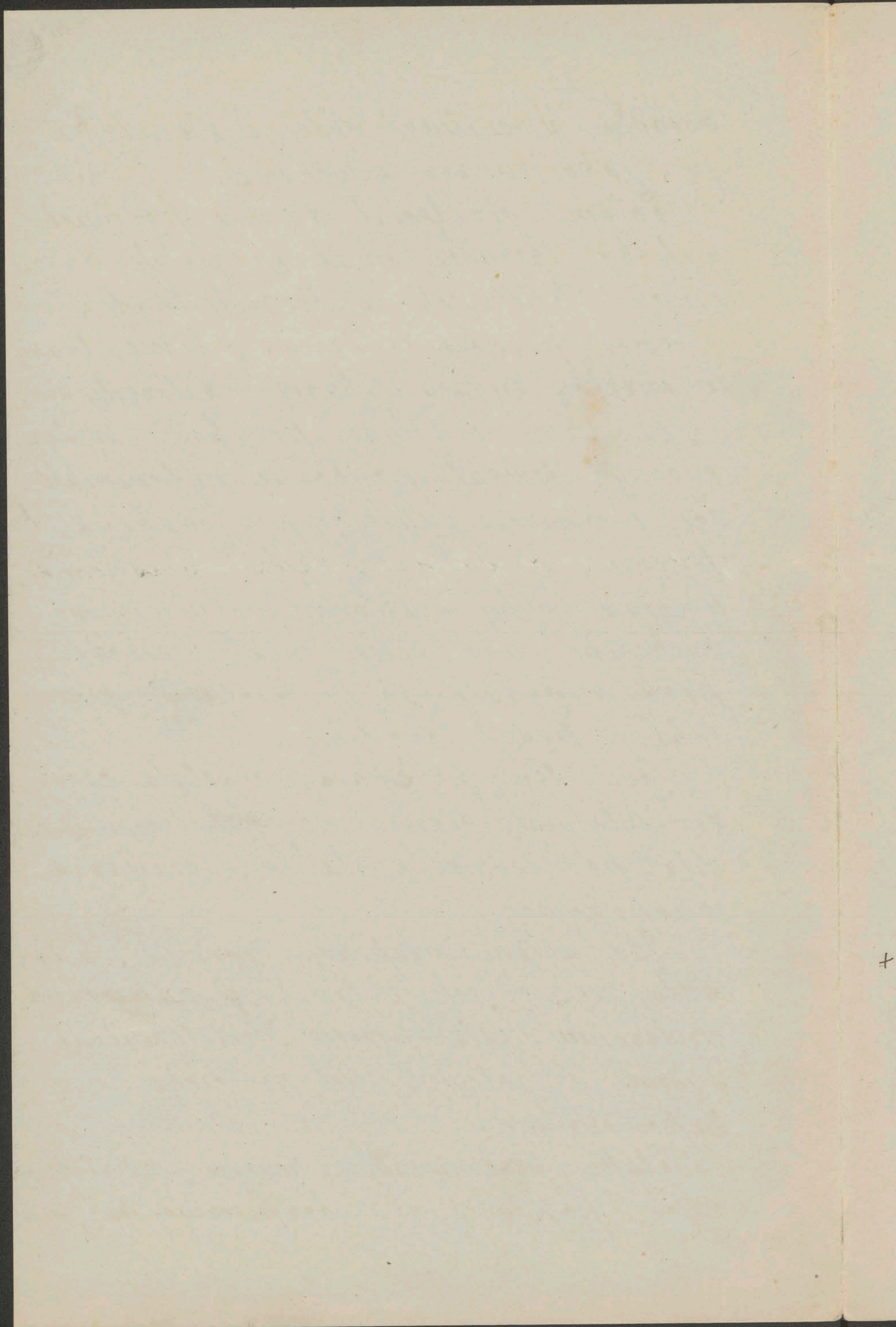
Potem nadleciał zimny podmuch, jakoby skrzydła miał z igiełek mroźnych, kłujących a bezszelestnych; dreszcz przebiegł drzewa, liście, trawy i wszelką żyjącą stworę — zatrzęsły się.

Za nim niedługo przypadł wiater mocny, począł próbować wytrzymałości i oparcia lasu, przyskakiwał ku pniom, siepał się, ciskał od drzewa do drzewa i — jak gdyby naglony mocniejszym nakazem, abo wiele miał jeszcze prób w czasie zbyt krótkim przed sobą — pędził co tchu...

Gdy ten przepadł, nastała cisza zmiertwiała, cięższa do przetrzymania niż poprzednie wysłańce, nakaźna, niepokojąca.

Las w tem niepokoju zciszył, zdawało się, oddech i trwał w nakaźnem milczeniu. Ale przecie niesłyszalnie dyszał i gotował się po cichu na zapowiedziane...

Ptaki przemykały z miejsc, upatrzonych poprzód, na bezpieczniejsze, nie



czyniąc przytem zwykłego szelestu: To samo zwierzę chodzące: stąpało tak, szukając zachronień, jakby tuż blizko wróg czyhał.

Drzewa zaś zbroiły się w milczeniu w zaciętość... Zwłaszcza rozparte, muskularne buki potrząsały bezszelestnie liśćmi i hardziały w sobie. Smreki obawniej się czuły, bowiem niewiele ich było i poroztracane; one jeno wtedy mocne, kiedy są w kupie ściśnionej, gałąź o gałąź sparte; to też wierzchołkami patrzyły na się z poza buków, jakby się zachowały w sile. A już młodzież smreczana, jedliczna, jako i buczyna giętka, całkiem bezradna stała; ta jeno spokojniejsza w swych wiotkich gibaśnych pieńkach, co się za ojce ~~two~~ je zachyliła.

\+ Tu i ówdzie stojące hardo stare jedle: szumem wysokich, nad las wyniosłych, koroną wieńczonych głowic, uciszały brać młodszą i spokoiły ją na owo przyjście złowrogie... Nie takie one pamiętają burze – z czasów drzewnych, gdy stały borami. Nie

z takiemi parły się mocami!... A trwa-
ły i przetrwały. Nie-wiele ich co praw-
da ostało, ale ostałyby się bez mała
wszystkie, żeby nie ta owada zjadliwa,
która je żelazem ostrem popodgryza.
Ta u świata.

Najstarsza z onych jedli stała, wro-
śnięta w krzemienne podskale, u sa-
mego wierchu od południa, pobok po-
lany, na której woły pasano.

Zdaleka czerniła się jej korona
czapista, niby gniazdo orle gdzieś
w obłokach. Zaś niższe jej konary,
zaschłe i powykręcane, niektóre jakby
w łokciu żylastym zgięte, upięstnione,
groziły – zda się – zbliżającemu się czło-
ku, niby potworne ramiona. Ku do-
łowi kadłub się odsłaniał: nieoby-
czajnie gruby, spotworniały od bulw,
narośli zaskórnych, ochropiały na-
okół popadaną korą, sękami po-
ukruszanymi z młodu upępiony, do
tego tu i ówdzie przez dzięcioły sklu-
ty, zdziurawiony.

Poniż kadłuba, w odziomku, otwór
się czernił na wysokość drzwi. Mia-

ła ta karna jedla wnętrze wypróch-
niałe; odziomek — szczery żłób, a i ka-
dłub we wnętrzu, o ile się z dołu wi-
działo, był próżny.

Pasterze, różnymi czasy tu pasą-
cy, korzystali z tego i palili w niej;
i wydrążyli ją jeszcze bardziej, tak,
iż śmiało mogło się w jej wnętrzu
dziewięciu ludzi stojący pomieścić;
mimo to jeszcze zdrowie miała mocne.

Podczas burz, zawiei ciemnych lub
inszej jakiej niepeci była ta jedla
schroniskiem wielu strwożonych i bez-
domnych istot. Przez kilka lat nie-
szkał w niej Jantek „Dyabeł", poszu-
kiwacz skarbów, póki go drzewo insze
nie zabiło.

Mało schroniskiem — była ona
kaplicą, nie jeno przez podobieństwo
naoczne do starościeckiej kaplicy, bez-
bożnej już i zczerniałej wiekami, ale
iż tam się wczasie burz przerażnych
wiele dusz modliło żarliwie, wiele we-
stchnień, od słów wypowiedzianych — głęb-
szych, ulatywała gardzielą jej spróch-
niałą ku górze.

57.
50

Owo jej wnętrze czarne było, jak czeluść komina; ogień uwęglił boki, dym oczernił górne wydrążenie; przez to milsze człekowi było, zwłaszcza bezdomnemu, bo przypominało wnętrze dymnej, oczerniałej izby.

W czasie tym, kiedy na drzewne jej siostry-jedlice i na poinszą brać takie, jak się powiedziało, spadły załęki abo poszumy od złych wróżb, lecących poprzód przed burzą, jedla nasza stała w obojętności skostniałej, już od całego wieka przyswojonej, i ani drgnęła.

W głowicy jej wyniosłej, jeszcze zielonej, chocia już mało iglastej, plątał się ledwo ku ziemi słyszalny szum — jakiś inny, nie z onego tu świata, lecz jakby przypominanie szumów dawnych — dawno pomarłych drzew — drzew-ojców — drzew-praojców...

We wnętrzu jej było cicho. Bo nawet muszki-brzęczki, które się tu, po zajściu słonka za chmurę, schroniły i brzęczały przez chwilę zdu-

dniałym gwarem jako w ulu, się„
działy teraz po zwęglinach i szparach,
jakby snem poprzylepiane.
Cicho było, jak istnie w kaplicy.
Aże naraz zatrzepotało się coś u
wejścia, na wysokości naczółka
drzwiennego. I u okraja przyczepił
się ptaszek, zazierając uważnie do
wnętrza. Nie mógł ciemności przej„
rzeć, a chciał przejrzeć - więc puścił
się na odwagę i obleciał parę razy
kołem; poczem wykynął, a za mo„
ment wróciło ich dwoje.
Podnieśli się w czeluście pierście„
niami wzlotu i posiedli na sękach,
wystających z poboku do środka; coś
ćwierkali, coś sobie opowiadali, czy
też przyzywało jedno drugie ku so„
bie; w końcu znaleźli się razem
na jednym sęku i siedzieli już
dalej cicho.
Po chwili znowu szmer z góry
spłynął do wnętrza: Otworem, któ„
ry dzięcioł wykuł, a jakiś inszy
stwór rozszerzył, wsunęła głowę wie„
wiórka. Porozpatrywała się naprzód

ciekawie, a potem wśliznęła zwin-
nie. Somknęła kominem w górę,
przepatrzyła, aza wróg jaki w ciemno-
ści nie czyha, poczem śfurgnęła na
dół, popróbowała powietrznego tań-
ca „od ściany do ściany”, wreszcie
uczaiła się, dysząc, przy otworze.

Znowu nastała cichość.

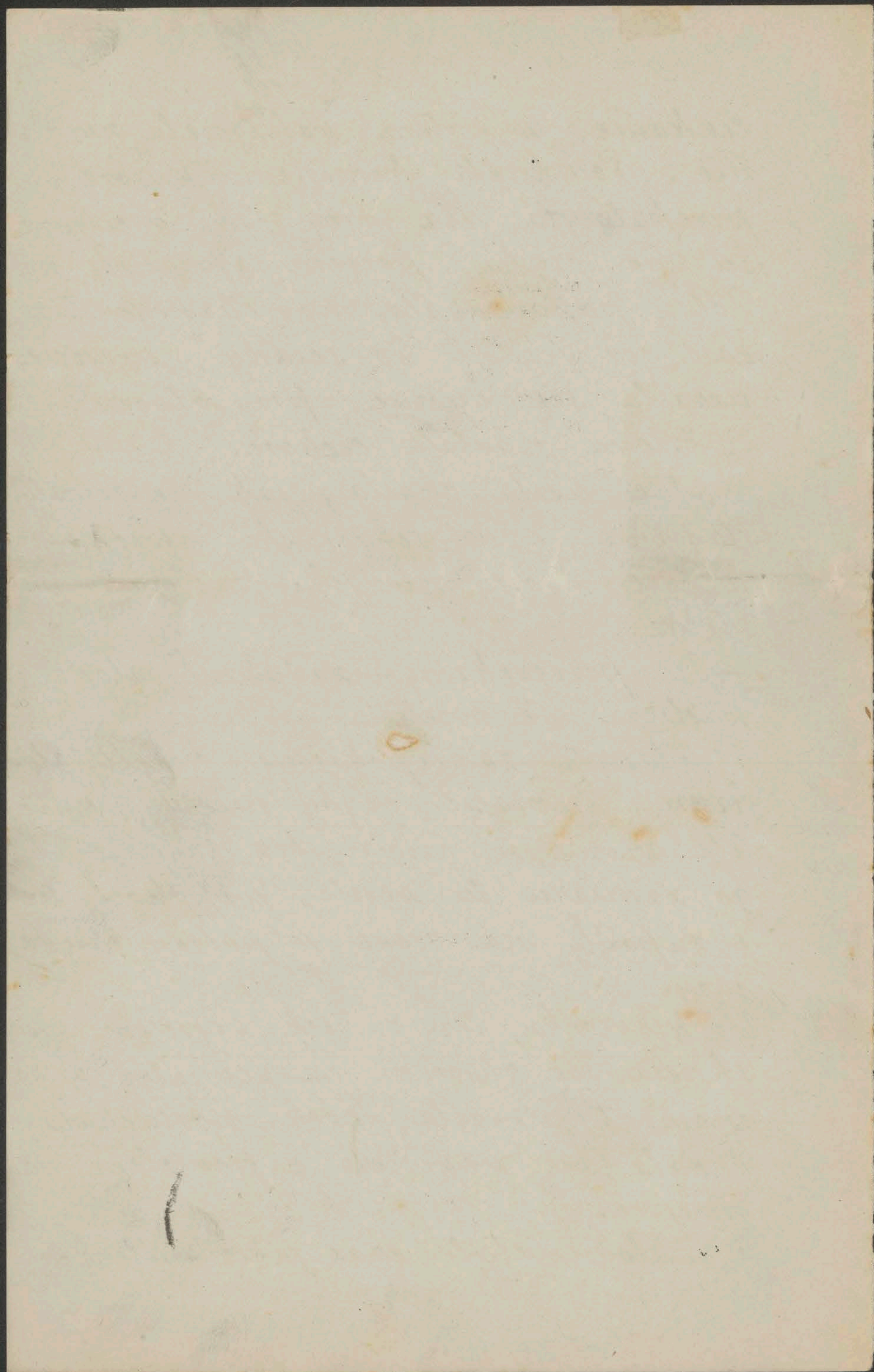
Nie uszła chwila, jak się ozwały
stąpania, i do schroniska wprowadzi-
ło się dwoje młodych: pasterz i pa-
sterka.

— Tu przeczekamy — zadudnił głos
pasterza we wnętrzu.

Staszeta, zaniepokojone, kręciły głów-
kami, dumając, czyby nie wymknąć.
Ale widząc, że młodzi bez żadnego złe-
go zamiaru tu weszli, uspokoiły się
i zapadły na nowo w półsen czuwa-
jący.

Wiewiórka też za ich wejściem wym-
sknęła się otworem na zewnątrz, a za
moment wraziła łebek, posłuchała
i cała się wwinęła z powrotem na
miejsce.

Młodzi stali czas jakiś milcząco,



nastrojeni podobnie, jak wszystek do-
koła żywot. Martwa cisza oczeki-
wania i ich przygniotła. Jednotonne
uczucie szło po włóknach-żyłach wszy-
stkich jednem powietrzem, choć roż-
nie albo i zgoła utajenie, dychają-
cych jestestw.

Burza się zbliżała zwolna. Różne
znaki zbliżenie się jej powiadały. Sły-
chać było jakoby olbrzymie stąpania,
od których ziemia drżała i echo szło
dudniące.

— Dobrze tu z tem schroniskiem ... Ka-
byśmy byli uciekli? — ozwało się dziew-
czę pierwsze, chcąc trwogę serca zagadać.
— Ja raz tak szedł ... od wołów, w no-
cy ... Burza zdybała mię w lesie ...
— Jezus! toś ~~ta~~ miał ...
— Szedłech na ślepo, nie widzęcy. Co
się łysnęło, tom krok stąpił ... Piera-
ny biły ...
— Nie mów ...

49/1 Przeżegnała się, bowiem łyśnięcie
dało się widzieć przez otwór. Zaniedłu-
go huk się dobył i popłynął po-
lesie w dudnieniu.

— Blizko kanysi.
— Pójdę wyjrzeć na woły — rzekł pa-
sterz.
— Nie chodź! — strwożyła się.
On też nie myślał iść. Tak sobie
rzekł, chcąc śmiałości dodać sobie i
dziewczęciu. Patrzeli w otwór, wyczeku-
jąc nowej błyskawicy, aby się na czas
przeżegnać.
— Pokrapuje...
— To chyba grad...
— Nie, takie grube kropla...
— Czy nas tu nie zamoczy?... —
Podniosła głowę i pojrzała do góry. —
— Widzisz ty, i ptaszki tu są... i wy-
wiórka!
— Ciszej, niech se ta siedzą.
— Dyć każby ja ich wyganiała...
Biedactwo... Oni się tu przódy schronili,
to mają przed nami pierwszeństwo.
Znowu łysnęło — już wyraźniej. Oboje
się przeżegnali, a pasterka, schylona,
poczęła drżeć wiotkiem ciałem, jako
ta młoda koralina w wietrze.
— Boisz się? — spytał ją czkliwio-
nym głosem.

— Nie... nie boję się przy tobie... — odrzekła, dygocąc jeszcze.

Otoczył ją ramieniem nieśmiało.

— Chciałabyś przy mnie być... tak zawdy...

Głos mu drżał wzruszeniem serca, rozechwianego burzą i uczuciem.

— Nie powiesz mi...?

Skinęła jeno głową i przychyliła się ku niemu.

Wzruszeniem opowici, milczeli, czując dygot serc swoich przy sobie. Widzieli się jakoby w chałupie — bezpieczni. Gdzieś tam daleko idzie burza — gdzieś tam daleko grzmi... serca się tłuką — czują wzajemnie ich młoty — lecz chyba nie z żałeku.

— Radaś mi choć troszkę?

— Cóż się pytasz... przecie wiesz...

Szeptają bardzo cicho — myśli się same słyszą.

— Haźbieś...

— Co, Józuś...

Pieszczą się imionami swemi, muskają się niemi po sercach, niby miękkiemi piórkami. Wreszcie słowa

wydają im się nijakie i zbędne - więc milczą, przytuleni do siebie, objęci szczęściem, jako powietrzem pachnącem.

Trwają tak, nie wiedząc o czasie, nie widząc nic, ino jakąś przed sobą jasność łagodną, przerozkoszną, która się przesącza w serca, aże przestają bić z rozkoszy... Kolana się gną, jakby dusze uklęknąć chciały przed tem Niewysłowionem... Życie minione wydaje się snem... a to istnienie prawdziwe... Prawda...

— Czy to prawda? — pyta się dusza. A wargi szepcą: — radaś mi?

Skinęła, i głowę tę przekochaną schyla mu na piersi. Przytulił ją mocniej i niezgrabnie pocałował jej włosy. Pachność z nich uderzyła mu do głowy, niby trujący czad.

W te razy światłość przebiegła po wnętrzu. Młodzi ledwo zdołali się przeżegnać, gdy huk się rozszedł trzaskający, jakby kto górę krzemienia rozłupał. Za moment nowa błyskawica, i znowu huk podob-

ny.
— Jak się też to przeraźnie łyska...
Rzeczywiście, błyskawice były jakieś przerażające, niezwykłe, jakich paste„rze nie widzieli za życia swego nie„długiego. To też gromkie ich światła rzucały trwogę na ich serca; i stali w załęku, tuląc się ku sobie, jako tych ptaszząt dwoje ponad nimi.
Deszcz począł ciąć naremny. Ani świata nie było widać. Błyskawice raz po razie sypały światło prze„raźne — już i żegnać się trudno by„ło za każdą — huk toczył się bez odetchnienia...
Dziewczę dygotało całe, jako ta najsłabsza trawa.
— Nie bój się — prosił pasterz — prze„cie ja przy tobie...
I przytulał ramieniem żegnającą się co moment, a sam pobielał aże od wzruszenia.
— Wnet przejdzie... widzisz już grzmot słabnie...
Zdawało się rzeczywiście, że się huk potoczył dalej. I błyskawice rzedniały,

ale stawały się jakieś trzeszczące, czerwieńsze – w paru łańcuch zamigotał – w jednej był krzyż… Raziły serca patrzących, jak groty.

– O Jezu… – jęczało dziewczę.

– Nie bój się… już przechodzi… widzisz, już się hań przeciera…

Burza mijała – szła za wierch…

Nagle dreszcz-światło… i za niem trzask straszny – prędszy niż słowo-myśl…

I jedla kruba rozszczepiona na pół – drzazgi z niej odstrzelone tu owdzie po ziemi – wśród nich leżą ciałka ptasząt, wiewiórka zabita na śmierć, i tych dwoje…

*

Burza przeszła. Słońce zegnało resztę chmur – ziemia, obmyta, zajaśniała na nowo całą swoistą krasą, radośniejszą jeszcze zielenią niż poprzód. Z liści bukowych spadały lśniące perełki.

Na borach.[x)]

---

x) „W roztokach."

U stóp wstających stromo z boczów,
gdzie już osiedle ludzkie nie dochodzę,
ciągnęły się ściśnione ugorami łąki
i dobiegały szyją aż do wązkiej bramy,
która zamknęła kotlinę.
Staczając się po uboczach, ugorne kamienie
zwęziły je i zepchnęły nad samą roztokę,
nad stromy, porośnięty jałowcami brzeg.
Drzewiej na miejscu tych łąk stały bory;
temu je zwano po wszej czas borami,
choć z borów nie ostało ani śladu znaku.

Bory te koszono wspólnie
i wspólnie siano suszono.
Podczas suszenia, gdy pogoda trwała,
schodziła się tu wszystka młodzież ze wsi,
cały prawie młody Przysłop,
na nocne hulanki.
Lecące hasło: „Na bory! Na bory!"
działało, jak rozkaz tajny,
jak przemocny cud.
Po chałupach ostawali jedynie ojcowie,
biadający w cichości nad zepsuciem świata.

Tego lata pogoda szczęśliwie dotrwała.
We dnie słońce pomagało suszyć wilgne siano,
a noce były księżycowe,
białe, jak sny dziecka.

W taką noc szedł Rakoczy doliną Huciska.
Wesół był, wiedział dobrze, że przy takim czasie
wszystko, co żywe, wylegnie na bory,
i Hanusia pewnie będzie. Szedł jak na wesele.

Księżyc łagodnem światłem zalewał dolinę;
roztoka w oczach mieniła się srebrem,
a po za cienie cichych smreków ~~kryło się~~
kryło się milczenie. ~~milczenie~~.
Powietrzem, jak omamienie,
jak zbłąkany sen,
snuła się błękitna przędza,
osnuwała zbocza
i czarodziejsko odmieniała
kraj do niepoznania.

W taką noc dziecku, zbłąkanemu w lesie,
otwierają się skarby ukryte pod pniami;
w taką noc na stromej skale tajemnego zamku
siada z kądzielą zaklęta królewna
i, oczekując wybawienia swego,
tęskno poziera okiem na dolinę;
w taką noc przy cichych stawach,

przy zadumie smreków
rodzą się, jak mgły z jeziora,
nieśmiertelne baśnie.

Franek tkliwy był od mała na urok księżyca.
Szedł doliną lunatycznie, jak we śnie czarownym.
Magnetyczne światło nocy czarowało duszę,
pełną nadziei miłego spotkania,
i wzdymało przypływami, idącymi w niebo,
jak miękką wełnę wód,
jezioro cichej szczęśliwości.

Czuł w sercu swojem przepełnię uczucia;
tryskało w górę, jak snop wody - przy świetle księżyca.
Budziły się w nim pieśni, przepojone uczuciem,
które się ujawniały na świat kaskadami słów.
Lecz słowa były, jak te krople, nie czyniące dźwięku
i przezroczyste, bez rumieńca, bez złocistych barw.
Tęcza od ich prześwietli padała na jego duszę -
on sam ją widział i sam słyszał
muzykę tych pieśni.
Ale wygrać nie umiał zewnętrznemu światu.

Idąc, mówił, jak dziecko,
śpiewającym głosem:
- Jest kraj nieznanych cudów,
gdzie z białych gór
potoki srebrem płyną,

doliny śpią,
a tajemnicze źródła leśne
czyszczą ze szmerem przy świetle księżyca
połyskujący, złoty piasek.
Smreki w milczeniu stoją, bez oddechów,
jak straże nocne w przedsieni kościoła,
w którym za mgławą tajemnic osłoną
bóstwo, nieznane ludziom, śpi...
A jedle drżą,
dygocą lękiem utajonym,
czy ich nie zdradzi światło białe,
które na nie pada;
bowiem sięgają nagiemi ramiony
w głębie rozpadłych, wązkich szczelin,
i wyczuwają palcami korzeni
skryte głęboko pod skałami skarby.
Albo na ziemię kładą się cieniami
i, wstrzymując dech, słuchają,
co tam w głębi dzwoni.
A to dzwonią owce białe, idące uboczą;
wełna im się zdala srebrzy,
jak te włosy fal,
wspinających się w księżycu
ku urwistym brzegom.
Przeszły ubocz,
już dochodzą pod zamglony wierch...

A małe jagnię ostało,
nie może nadążyć,
samo idzie po polanie, zawodzi i płacze
i woła, woła, by je poczekali.
Ostatniej owcy grzbiet łysnął za wierchem.
W głuchej ciszy słychać jeno ten samotny płacz.
O kraju! O dolino smutku!
Tam – przy nieznanem drzewie
ukryty drogi skarb,
o którym nikto nie wie...

Wszedł w wąwóz. Huk roztoki zgłuszył dalsze słowa.
Niezadługo minął wąwóz, przeszedł wąską bramę
i ujrzał się na drodze w przestronnej dolinie,
wśród ugorów rozległych, na kraicu Brzystopia.

Doleciało go z oddali zawodzenie skrzypiec.
Począł dygotać w sercu, drżeć na całem ciele.
Ile razy posłyszał kiedy zdala skrzypce,
zawdy to drżenie dziwne owładało nim.
Nie wiedział jeno, skąd się bierze,
jaki temu powód.
Może powstaje nieświadomie
na wspomnienie chwil,
jakie dotąd pamięta z dzieciństwa swojego.

Spał w izbie... Aże naraz przebudził go widok.

Owies zadzwonił na szybach.
Skrzypce zajęczały.
A on się zrywał: „Tato! Tato! kolędnicy przyszli"...
I z drżeniem biegł do okna patrzeć na te cuda.
Były to czasy dużej szczęśliwości...

A raz, pamięta, zbudziły go krzyki:
„Pali się! pali!" Wyskoczył na pole.
Tłumy ludzi, wieś cała biegła na wierch Gronia.
Pobiegł i on. A lecąc dygotał jak w febrze.
Palił się las. Przeraźny widok był, bo zblizka.
Morze płomieni szło uboczą,
a dymy, jak chmury ciężkie,
wisiały nad ogniem.
Ktoś przyniósł skrzypce - grali - tańczyli przy
[świetle...

I odtąd, ile razy usłyszy płacz skrzypiec,
Drżenie wraca, jak odgłos potrąconych strun.
- Bo też ino nasze skrzypce tak umieją płakać.
Jest w nich czar, który pada urokiem na duszę.
- O, jak płacze, jak się żali, jak się skarży głośno!

Nietylko słyszy, ale widzi tę muzykę zdala.
Idzie, idzie po ugorach, ręce załamała,
włosy rozpuściła na wiatr, i zawodzi w płaczu,
lamentuje, jak zdradzona płanetnica leśna.
A serce człeku rwie się za nią;

trzepoce, jak ptak schwycony,
bije skrzydłami i krwawi
zasklepioną pierś.

Coraz wyraźniejsze tony szły naprzeciw niego.
Rozpoznawał melodje, uśmiechał się do nich.
Zbliżał się zwolna ku borom, widział zdala kopy,
dokoła nich taniec cieniów, migających w świetle;
zdało mu się, że napotkał tajemnicze święto,
jakieś pradawne, zabyte duchów pohulanki.

Nadchodząc bliżej, usłyszał niewyraźny śpiew.
Słów nie mógł powiązać uchem, ale nutę poznał.
Gorączka nim owładnęła, i niepokój parł.
Chciał jaknajprędzej ujrzeć i sprawdzić naocznie.
Ustawili się prawie do nowego tańca,
kiedy stanął za kołem wśród zgrachy ciekawej
i począł szukać oczyma Hanusi.
Ujrzał ją nagle i, miast rozśmiać lica,
spłonął, jak podpalony, suchy krzak jałowca.

Na przedzie, przed muzyką stał Michał Cichański,
przy nim Hanka. Dłoń sparła na jego ramieniu.

Obaczył ją tak Franek i zakipiał gniewem,
zatrzęsło się w nim serce, zaćmiły się oczy —
chciał biedz w pierwszym momencie,
rozbijać, rozrywać...

Rędko jednak opanował narzędność szarpiąca.

Poznali go stojący blisko i pytali:
– Cóż was przywiodło ku nam?
Tak dawno, jak nie byliście…

Nie słyszał i nie odpowiadał.
Przeciskał się przez tłum
i szedł milcząco ku muzyce
z ogromnym spokojem,
jak chmura ciężka, która idzie
ołowianą ciszą.
Oczyma, jak piorunami, świecił poprzed siebie.
Ludzie się rozstępowali i cofali trwożnie.

Raptem Hanka, jakby czuła te oczy na sobie,
obejrzała się, a twarz jej biała
stała się w świetle księżyca,
jeszcze bielszą. Z cichym krzykiem,
który zmarł na ustach,
cofnęła się za plecy swojego tancerza.
Rakoczy odchylił go na bok ręką lewą,
jak oną gałąź z przed oczu wśród gęstwi.
Ten odruchem podniósł pięść, lecz zaraz
opuścił ją i trwożnie usunął się w ciżbę.

Rakoczy stanął blizko przed zalękłą Hanką

i cichym głosem, w którym dzwonił rozkaz,
rzekł: – Chciałbych z tobą przemówić słów kilka.

I wskazał ręką pośród ciżby drogę,
którą był piersią przed chwilą otworzył.

Hanka, widząc w jego twarzy niezwyczajne wrzenie,
zawahała się, lecz wnetki postąpiła naprzód
i, z udaną gotowością żwawo przed nim szła...
Stojący zblizka cofali się na bok
i prowadzili ich oczyma,
szepcząc między sobą.
Michał się już nie nawinął.

Mineli gromadę,
i szli w milczeniu po trawniku
wśród lasu wonnych kóp.

Franek, zapamiętały w gniewie i wściekłości,
chciał ją zaraz pokarać dotkliwie obelgą,
ale, nim w myślach słów wyszukał,
już gniew zmalał w sercu,
i słowa one zdały się za ostre.
Dobierał innych, a tymczasem
złość go omijała.
Miał też czas, idąc przy niej, zauważyć przestrach
i drżenie ptasie w jej cichej postaci.

Chwiała się wiotkiem ciałem, jak gibrzyna leśna,
z której wiatr obrywa kwiecie i otrząsa puch.
To go powoli rozbrajało.
Długo ważył słowa,
i tak w milczeniu doszli razem do ostatnich kóp.
- Powiedz mi - ozwał się Franek z surowością wielką -
powiedz mi, ale tak szczerze,
dlaczego tańcowałaś z tym człekiem niemrawym?

Podniosła ku niemu oczy, od których śnieg taje
i odrzekła po cichu: - Bo ciebie nie było...

Nie spodziewał się Franek takiej odpowiedzi.
Myślał, że powstanie z krzykiem,
z niewieścią urazą
i pocznie bronić swobodności swojej...
„Cóż mi to nie wolno - powie -
tańcować z kim zechcę?"
Miał już na to słowa gniewem
jarzące, jak iskry
rozdmuchiwane wiatrem w spopielonej watrze.
I teraz wszystkie pogasły odrazu,
jakby je nagły pozalewał deszcz.
Jak dziecko, które czuje przewinienie swoje,
broni się cichym wyrzutem:
„Bo ciebie nie było..."

I cóż tu na to powiedzenie rzec?

Hanka zaś mówiła dalej: - Takeś mnie ostawił,
jak ten pasterz głupią owcę
na ugorach w nocy.
Ani światełka, ani głosu,
ani znikąd nic.
Myślałach, żeś już o mnie do znaku zabaczył...
I po licach jej poczęły staczać się, jak tarki,
siwe, w świetle księżyca migocące łzy.

Zachwiał się Franek, obaczywszy płacz.
Żal naremny potokiem spłynął w jego serce
i uderzał o brzegi spienionymi murty.
Ostatki gniewu, litość i miłość bezmierna
walczyły w nim, i żadne zwierchować nie mogło.
Patrząc na jej łzy cierpiał i bolał okrutnie,
a przecie tego nie chciał jej powiedzieć.

Co ja sie też naczekała! - labiędziła w płaczu. -
Com sie nawyzierała daremno!
Kielo nocy nieprzespanych - sam Panienus wie,
bom sie nieraz godzinami przed Nim naklęczała...

Na wspomnienie tych utrapień - nowy potok łez...
- A przecie - począł Franek, gwałt zadając sercu -
miałaś czas o innszych myśleć...

120 71

— O nikim! Nieprawda!
— Nie gadaliby mi ludzie.
— To ludziom dajesz prędzej wiarę, niż mnie?
Teraz, to już wiem, że mnie nie kochasz...
— Hanka!
— Przyczyny szukasz, aby sie oderwać.
Ale ja cię nie związała — mówiła obłędnie —
możesz iść kany zechcesz,
ka ci sie podoba.
Ja ci nie bedę zagradzała drogi.
Ino skoczę do rozłoki i utopię się...“

Jakby chciała odrazu wykonać ten zamiar,
zwróciła się ku rozłoce i poczęła iść.
Franek zmartwiał, przeląkł się i zabiegł jej drogę.
— Hanuś! miej rozum...
— Puść mnie! — zawołała.
Coraz to większa rozpacz owładała nią.
Ujął jej dłoń i począł z tkliwością przepraszać.
— Daruj mi, bo ja nie wiem sam, co mnie nadeszło.
Przecieżem z taką chęcią dążył na te bory!
Z taką uciechą wielką, jak do raju...
Ale gdym ujrzał przy tobie ten łeb wyświecony...
Daruj mi, bo ja ciebie tak bardzo miłuję,
że nie zdołam letko przenieść,

aby taki wół wierutny
śmiał o tobie przez moment inaczej pomyśleć,
niż jako o wielkiej pani, która patrzy z chmur.
Bo wierzaj mi, chciałbych cię tak wysoko stawić,
iżby ludzie, patrząc na cię,
mrużyli oczy podobnie, jak w obliczu gwiazd.
Hanuś, dziecino moja, ustanów się w żalu
i nie płacz, bo mi serce doznaku popęka...

Prosił i błagał, nie wiedział już wreszcie,
jakiemi słowy mówić, by ją ulegować.
Przyciskał jej dłoń do piersi,
a z taką czułością,
jakby żywego ptaszka dzierżył w ręce.
I jak ptaszę, któremu serce bije z trwogi,
drżała jej drobna dłoń przy jego piersi.

Uciekła i otarła łzy przyschłe na licach.
Ale jeszcze zapaskę trzymała przy oczach
i patrzyła z po za niej, jak łaska z za strzechy.
Widziała, że już niema znikąd zagrożenia.
Milczała jednak, idąc przy nim,
jak strapienie ciche;
dopiero kiedy doszli do ostatniej kopy,
siadła na sianie, założyła ręce
i poczęła z surowością:

— Teraz ty mi powiedz...
Powiedz mi, ale tak szczerze,
dlaczegoś nie dotrzymał przyrzeczenia swego?
Pamiętasz, jakeś obiecował święcie?
Miałeś zaraz nazajutrz starać się o wypłat...
Ja cię nie przynaglała,
sameś się wyrychlił.
A potem, co cię opętało złego,
żeś uciekł ze wsi od ludzi, jak dzik?
Czemuś nie przyszedł, nie powiedział
ani nie dał znać?
To ja nie godna, by słowo od ciebie usłyszeć?
I, nie czekając co powie, mówiła:
— Wiesz ty, mogłabych umrzeć z turbacyji,
ani byś o tem nie był wiedział.
I jak miałeś sumienie tak mnie poostawić,
w takiej niepewności i trwodze?
Musiałach się od ludzi inszych dowiadować.
A myślisz, że mi miło było, jak mnie żałowali!
albo jeszcze i gorzej, bo się śmiali ze mnie,
że za płanetnika wyjdę. Powiadali ludzie,
żeś się z djabłem stowarzyszył, i chodzicie razem...
— Ale nie wierz-że ludziom...
— Aha! Tyś nie wierzył?
Widzisz, jak my się to zeszli...

Uczuł się skruszonym w sercu.
Cóż jej ma powiedzieć?
Wreszcie począł: - Bywają różne przeciwności.
Ja natrafił na taką, żem się musiał cofnąć.
- Powiadałeś, że się nigdy przed nikim nie cofniesz.
- I dosieła powtarzam. Ale bywa różnie;
przeszkody mocne znajdą się i w sercu.
Człek musi nieraz cofać się przed samym sobą...
- Toby nikany nie zaszedł,
abo w przeciwną stronę, niż zamierzył.
- Ja też tak - uśmiechnął się -
zamierzyłech iść na dół roztoką
a zaszedłech do Huciska...
- Cóż cię tam ciągnęło?
- Bardziej mnie ono pchało, niż ciągnęło.
Ale to wszystko jedna siła - dodał -
dość, żem się tam niechcący dnia jednego znalazł.
I nie żałuję! - mówił z wstającym zapałem. -
Nadżyje się, co przeszło, wszystko będzie dobrze.
Bo może nie wiesz, Hanuś moja,
że ja ścinam ubocz?
- Powiadali,
ale mi się nie chciało koniecznie wierzyć.
Bo jakżebyś sam dał radę...
- Czy ja to nie mocarz?

Ścinam już od paru niedziel
i raduję się, że wnetki dojdę ku wierchowi.
A wtedy se odetchnę szeroko, jak wiater,
i kiela słówek zgarnę do zanadrza.
— Hej? To ci telo aże obiecali?
— Za cożbych sie mocował z twardymi smrekami?
Za jakie tajne grzechy świata? powiedz.
Przecie to nie żadna rozkosz, ino męka szczera.
Tak, moje dziecko,
tak mozolnie tych skarbów dobywam,
o jakich ludzie myślą, że ich z djabłem szukam.
I powiem ci, że choć strasznie
cnęło mi sie za tobą,
nie miałech postanowienia obaczyć cię wcześniej,
aż pieniędzy uzgarnuję...
— Przecie wiesz — przerwała —
że choćbyś i goły przyszedł...
— Ale mnie samemu byłoby to nijako.
Zresztą, oczem gadać,
kiedy i tak bogaczem przed tobą nie stoję.
— Siadź przy mnie — poszepnęła.
Posłuchał jej rady
i usiadł ostrożnie z boku, by kopy nie zwalić.
— Czemuż tak daleko? pytała z uśmiechem. —
Boisz sie jakiej zdrady? Ja sie zaś nie boję...

Przysunęła się ku niemu z wesołością dziecka,
obejmując jego ramię splecionemi dłońmi.
On jeszcze myślą stał w poprzedniej gwarze
i, z tego wierchu pozierając, mówił:
– Wszystko sie dobrze złoży,
nawet lepiej, niźby se kto myślał.
Na jesień ubocz zetnę, zapłatę otrzymam,
i bedziemy se radzić o inakszem życiu.
Już ja sie nie dam biedzie ostać
na mojem gazdostwie.
Będę ją dotąd prześladował,
aże mnie opuści.
A jak mi sie świat rozwidni,
to obaczysz wtedy,
co Franek Rakoczy może,
jakie cuda zdziała!
Ino ty wierz we mnie, Hanuś,
bo mi trza koniecznie,
aby ktoś we mnie uwierzył,
choć jedna duszyczka...
– Twoja! – szepnęła przytulając się.
– Nie spocznę, pokąd krzywdy nie obalę we wsi!
Tak ją bede wycinał, jak tę ubocz leśną.
– Myślałach, żeś już o tem zabaczył...
– Przenigdy!

To ino życie odniosło mie na bok,
jak ta fala mętnej rzeki odnosi łódkę rybaka.
Ale ja sie wnet odbiję od cichego brzegu
i wypłynę na sam środek...
— A jak cię topielec wciągnie?
— Topielców już niema.
— A ludzie powiadają, że jeszcze są...
— Nie wierz. Ale ja nie o tej rzece...
— Mówmy o czem inszem.
Abo lepiej nie mówmy,
słuchajmy, jak grają...
Umilkli..
Słychać było zawodzenie skrzypiec.
Ludzi nie widać,
zasłonił ich las kóp rozstawionych.
Po za tem oddalenie kryło ich po za mgłą,
która oparem zaległa doliniaste bory.
Odgłos tupotów głuchych szedł po równej ~~dali~~ trawie.
Śpiewy dolatywały do ostatnich kóp.

„Kochałach cię Jasiu,
Kochałach cię dosić,
Trudnoż mi cię było
W podołecku nosić...„

Szum niedaleko płynącej roztoki

owijał melodje, głuszył i przywracał.
Zdawało się, że fale wynoszą je z wody.
Przewijały się w widnej księżycowej nocy,
jak wiotkie ciała boginek rozkosznych,
które się rade pluskają na jazie
w mlecznych i srebrnych pianach wodospadu.
Czasem pierś zaśnieży biała,
błyśnie cudo-łono,
czasem oczy zamigocą urokiem i zgasną,
gdy je zawieje płomienny wicher złotych włosów.
A czasem, ale rzadziej, ukaże się postać,
zapatrzona w głębinę, jak brzoza płacząca.
Tak się snuły melodje w tej nocy uroczej.

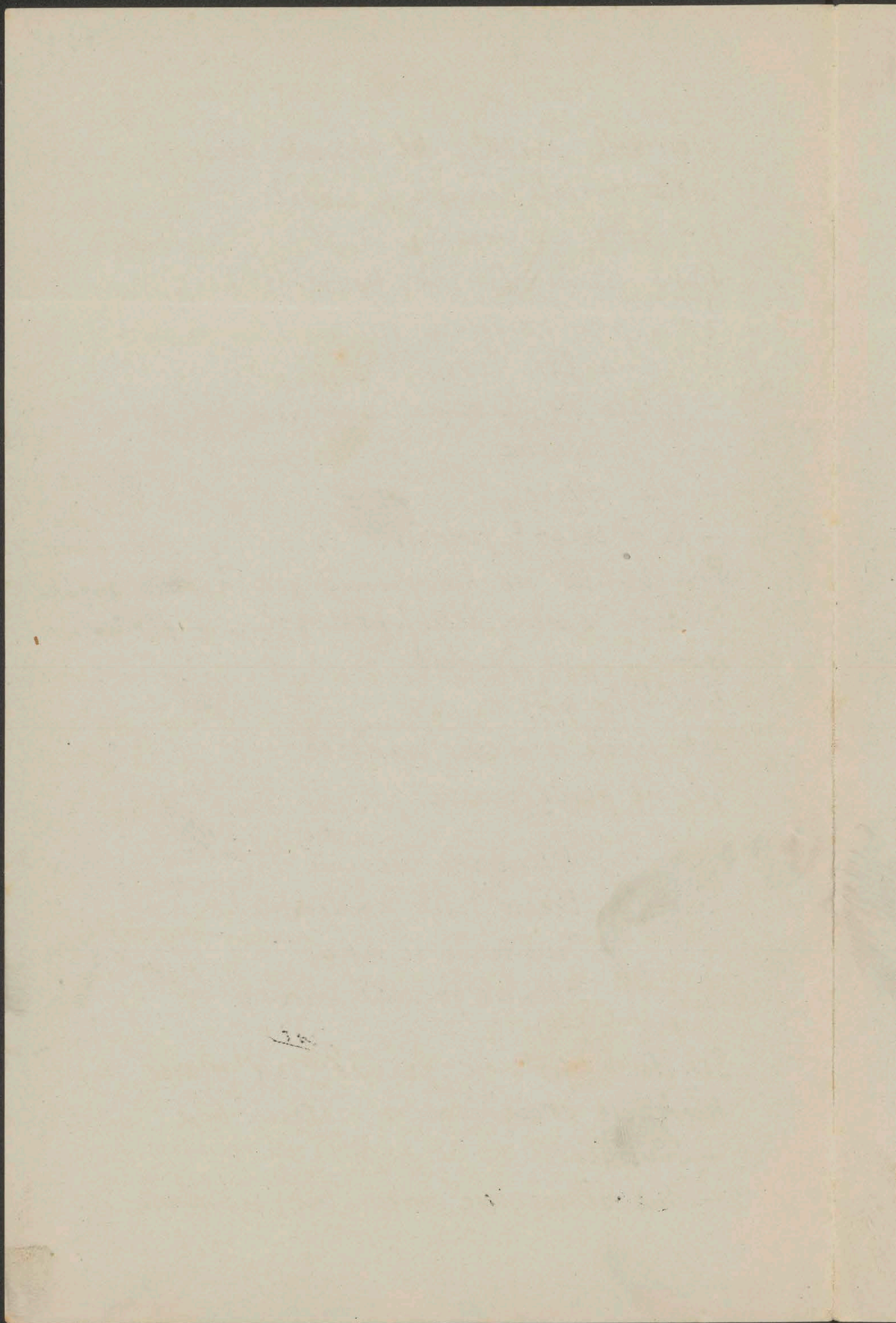
Za mglistem, białawem światłem
widać było tęczę,
jak stroiła miesiąc blady
w pożyczane szaty.
Dobierała promieniami siedmiorakich barw,
dwie się jej zwidziały bardzo
i ostała przy nich.

„Już-em był, już-em był
do kolana w niebie,
Alem się zawrócił,
Anielciu, po ciebie…”

Pieszczota melodji ~~kt~~ kołysała serce,
mgła owijała myśli i siadała
pomroką na oczach.
Siano pachniało, jak kadzidło,
które poi zmysły.
— Czemu tak drzysz?
— Bylasz się, a sama dygotasz...
— To od zimna.
— Nie wierzę...
— A od czego? powiedz...
Przychyliła się ku niemu, jak kalina giętka.
Od boru śpiewy leciały swawolną melodją.
Dzwoniły, jak dzwonki owiec,
turlikały głośno,
jak puste śmiechy pasterek,
gdy się zejdą razem.

„Wianeczka odemnie
Chcesz Jasiu koniecznie?
Ożeń-że się ze mną,
Będziesz go miał wiecznie!..."

Leciało trzepotliwie, grająco, jak ptaszę,
które się skrzydłami z wiatrem bije.
— Słyszysz?
— Nie słyszę nic, wiem ino, żeś moja...



– Pamiętaj!..

Całą dolinę jasność zatopiła,
morze światła białego, bez dna i bez brzegu,
kołyszące się cicho w uśpieniu głębokiem
przez jakiś bezmiar siny, nieskończenie wielki,
który dokoła opasuje wieczność.
Ucichły płacze i śmiechy umilkły
i ustał wszelki gwar stworzenia;
dolinę całą wypełnił Bóg-twórca.
Na cześć Niewidzialnego wstają pieśni mocne,
zrodzone z wyobraźni zolbrzymiałej duszy,
a śpiewane, jak przez las tajemny, milczeniem,
którego dźwięk głośniejszym jest od surm anielskich
i echo dalej niesie, niż płacz ziemi.
– Oczy twe odbijają w sobie światło gwiazd.
– A w oczach twoich płomienie się jarzą.
– Księżyc na czoło twoje świeci
i ubiera cię jak świętą.
– Czoło twe czarne, jakby je smoła opaliła.
A twarz podobna teraz djablej...
– Nie lękasz się?
– Nie, bo wiem, żeś ty jest przy mnie,
bo cię czuję...
– Niech się świat zapadnie ze mną!
– Zabij mnie!

Księżyc znowu rozgarnął po dolinie światło,
rozprószył białe mgły
i porozwieszał je po stromych zboczach.
Roztoka się rozwidniła, bory się odkryły,
kopy stoją, jako stały –
nic się nie zmieniło.
Odgłos tupotów głuchych odzywa się w ziemi,
i słychać z oddalenia zawodzenie skrzypiec.
Zmęczone głosy dolatują do ostatnich kóp.

„Czemuż ci się, Franuś,
fiórko nie migoce?
Dalej je Hanusi
za złote warkoce...”

* * *

Na niebie poczęło świtać.
Gwiazdy pobielały,
od wschodu wychodziły coraz śmielej zorze.
Roztoka szła i bladziła
siwiejąca mgłą.

Ludzie z borów pomału poczęli się tracić.
Zasępienie i senność zeszły się nad wodą
i wiły się leniwie ponad siwe młaki.
Niejeden z borujących padł na wilgne siano,
aby dać wypoczynek zmużonemu ciału.

Ubocza, po ugorach, we mgle, jak płanetnik,
szedł grajek, Jasiek Muzyka,
który całą noc przegrywał na borach.
Grał ludziom, a teraz sobie.
I śpiewał pod nutę.
Było w niej dziwne powiązanie uczuć,
można rzec: szczęśliwość smutku.
Albo jeszcze insze...

„Hej, biedne moje serce
na poły się dzieli –
Jedna strona płacze,
Druga się weseli...”

Głos czysty biegł,
a skrzypce zabiegały wartko;
mijały się i w pustej ginęły uboczy.
Zwoływały się długo smutnemi echami.
Wreszcie głos przepadł.
Echo skrzypiec zapłakało po nim.

Pogrzeb Muzyki.

Na przedzie obrazu: cmentarz wiejski – trawnik nierówny, pełen koperzyków i zagięś„bień – w części niedużej zruszany, ziemią czer„wieniejący. Na nim tu owdzie krzyże drewnia„ne – niektóre próchniejące już, pospochyla„ne – i dwa nagrobki z kamienia. Drzewa ze rzadka: kilka świerków, modrzewi, parę brzó„zek... Cmentarz ogradza porozrywany żywopłot z głogu i smreczyny.

Dalej – poza cmentarzem – wznosi się uboczą ugór, na którym widać ślad zagonów kiedyś oranej ziemi. Po ugorze – kępkami i samo„tnie czernieją karły-jałowce.

Dalej – ku górze – ugór przechodzi w żółtą pustać i ginie w ciemnych przylaskach. Z nad przylasków prześwieca skrawek nieba.

Słoneczne światło przedpołudnia.

W ugorze – ponad cmentarzem – widać pa„sące się roztracone owce: białe i czarne. Wśród nich pasterkę-dziewczynę.

Na cmentarzu – na przedzie – wśród

świeżo zruszanej ziemi: dwóch ludzi. Jeden, młodszy, po pas w ziemi, z łopatą w dłoni – drugi, stary, ponad nim siedzący na desce –: stary grabarz i jego pomocnik.

Pomocnik

(poziera na prawo, w górę, na ubocz, która się przed jego oczyma rozciąga.) Nie widać żeby go wieźli. I nie słychać pieśni...

Grabarz

Nie marudź. Dokończ grobu. Oni sie tu wnet ukażą – ino patrzeć. Słonko już daleko wyszło...

Pomocnik

(schyla się i wyciskuje ziemię. Po chwili, umęczywszy się, staje, spiera ramiona na łopacie). Boże, mój rówieśnik... Razem my na polanach przez lata pasali – w jednych rokach my do odbiórki chodzili... I kany bych był pomyślał, że ja mu będę grób kopał...

Grabarz

Masz, widzisz, zastanawienie... I nieraz ci to jeszcze przyjdzie. Kielo ja razy tak stanął, jako ty teraz, i zadumał sie, sparty na łopacie! Pochował ja ich tu setki – a z każdym prawie coś

myślą pogwarzył, gdzieś wspomnienia, mi pochodził – a byli między niemi i towarzysia moi z lat młodych...

Pomocnik

Bacze, jaka radość była na polanach, kiedy do wołów szedł... Słychać go było z daleka, bo zawdy chadzał grający. Skrzypki wsze na rękach dzierżył, jak matka dziecko niełetnie, a w czasie deszczu nosił je w rękawie. Ej grał też, grał! I wiedział nutę taką, że choćby najtwardszy człek – musiał się ozrzewnić. Ta nuta jego owijała się tak około serca, jak jedwabna nić. I mógł nią człeka, ka chciał, zaprowadzić.

Grobarz

Jusci-ć nie było tu nadeń muzyki. A znałech i pochowałech ich już kielu. Nieboszczyk Gręda – hań leży, pod tym smodrzeniem (pokazuje) – miał i on nutę wesołą, ale nie miał tego składu. Do tańca to ta zagrał...

Pomocnik

Hm... Obiecował mi Jasiek, – żebrak mój – że mi będzie grał na weselu... Zagrai

ła – mocny Boże! – Już na wieki zmilkły
Twoje skrzypce… Czy mu je też włożyli
do trumny?

Grabarz

Co mu tam po nich…

Pomocnik

Powiadacie – a jakże by on tam był bez
nich? To samo czyścem by mu było.

Grabarz

(nie odpowiada. Po chwili:)
Natrafiłech kiedyś, kopiąc, na grób nie,
boszczyka księdza różańcowego, co to tu u
nas na pensyi siedział i wsze brewiarz
odmawiał… Z brewiarza ostała ino skóra
wierzchnia, a z księdza nawet i tego…

Pomocnik

(schyla się i z zapamiętaniem wyrzuca ziemię,
poczem znów staje:)
Ja to ni mogę nijak pojąć…

Grabarz

Czego?

Pomocnik

A tej… śmierźki. Jak to tak człowieka
zmieść…

Gróbarz

Wiatr suche liści zwiewa, by nowe miały ka róść... Pożółkną i te nowe, i wiatr je zwieje... A wreszcie - drzewo obali... I cóż ~~by by~~ błyszczący liść?

Pomocnik

Liść - dobrze... ale okwiat! Pocóż wiatr i okwiat zwiewa?

Gróbarz

Ha to już wiatru się spytaj - ma moc...

Pomocnik

Dyć i ja mam moc. Mógłbych iść i bechnąć w łeb każdego, co go słabszego napotkam. -

Gróbarz

Tego nie zrobisz.

Pomocnik

Zacego?

Gróbarz

Boś nie wiatr, nie masz prawa.

Pomocnik

A skądże wiatr ma to prawo?

~~Gróbarz~~

Gróbarz

Ha – to znowu jego się spytaj...

Pomocnik

(westchnąwszy ciężko, wyrzuca ziem.)

Gróbarz

Niby o wietrze się gada... Daleko od rze-
czy. Ale był on czas – pamiętam – kiedy
jak te liście, padali ludzi od podmuchu.
Przyszło powietrze złe i zabierało skraja,
bez wybioru... (Patrzy na ubocz, na prawo.)
Niezą go, zdaje mi się...

Pomocnik

(podnosi głowę.) Śpiewają.

Gróbarz

Widzi mi się, bo nie dojrzę, że już nad
potok Skalisty dochodzą...

Pomocnik

Nie, dopiero są na Działku... Kobiety
w białych Łoktuskach, chłopi czarni...

Gróbarz

To też ci mi się z jałowcami mienią...
(Patrzą w milczeniu i nasłuchują śpiewu.) ~~Gróbarz
wzruszony.)~~ Setki razy słyszałech ten śpiew,
co tu na smentarz odprowadza, a... nie-
porada się ozwyczaić...

Pomocnik

(chlipie łzy nieznacznie:) Boże... Sieroto... Już ty nie pójdziesz więcej tą ubocza... jakeś se nieraz szedł... grający...

Grobarz

(opanowuje się.) No kop-że, kop...

Pomocnik

(próbuje kopać.) Ręce słabnieją... (wyrzuca ziem.)

Grobarz

Ino na mnie nie ciskaj... Jeszcze mnie na czas przykryjesz...

Pomocnik

Kto wie, kto kogo. Sami mówicie, że wiatr nie wybiera...

Grobarz

Ale najchętniej zwiewa suche liście, zielonym czas...

Pomocnik

Nie duża to pociecha...

Grobarz

Ale zawdy pociecha... No kop-że, kop...

~~Pomocnik~~

Pomocnik

(wyciskuje ziemię - po chwili:) Już na potok zeszli ...

Grabarz

Nie słychać pieśni. Dział zachyla ... (patrzy w stronę onego działu) Jest i hań smentarz, z czasów zarazy i głodu ... Dziś mało go i uznać - pozaorywali ... Krzyż wpadł do ziemi - nikt go nie poprawił, tych kilka olszyn i jałowców znaczą zaledwie ślad ... A był hań spory płatek ziemi, nie mniejszy od tego tu ... I zawdy tak mi się widziało, że tu nieboszczyki mają dwór, a hań folwark ... Dobre widać czasy, kiedy ludzie i folwarki nieboszczyków parcelują ... W złych rokach musiano przykupować pola na smentarz ... Baczę, jak przeze mgłę ten pomór ... Ludzie snęli jak muchy. Nie było czasu robić trumien, prosto w doły z gnojjaków zrucali ...

Pomocnik

(staje - patrzy) O - już są na Dziale ...

Grabarz

Aha - sporo ludzi ... Mało kto hań w chałupie pozostał. Całe podleśne sioło ...

Pomocnik

Zasłużył se.

Gróbarz

(zapatrzony i zasłuchany w pieśni:) Tak, tak - żebraku, grywałeś se po polanach - weseliłeś świat - a teraz idziesz ku nam ze smutną muzyką...

Pomocnik

(wyrzuca ziemię - znów staje, ociera pot - rozgląda się.) Biedna Hanka - jaż tu przygnała owce.

Gróbarz

Dyć wiera. Ona hań pasie...

Pomocnik

Nieraz z owcami szła za jego nutą, jak by owce i onę razem jaki urok pojął. Śpiewowali też ku sobie, jak paśli: on woły na jednym wierchu, a ona owce na drugim... Przeganiały się ich głosy ponad lasem, jak dwa gołębie dzikie, co na wietrze skrzydłami, jak na strunach grają. A kiedy on dla niej grał, to wszyscy co słyszeli, wiedzieli, że dla niej... Taka była serdeczność w tej

mucie. Ulatowało kilka dziewcząt za nim, ale żadna tak nie banowała. Co się hań teraz w jej sercu dziać musi!

Grabarz

Boleje- pewnie- będzie boleć, pokiel jej śmiech nie wróci... ~~Niedarmo~~ Wiadomo: dziewczę. Gorzej matce. To jedyną na świecie miała w nim społmogę. Bo dyć sam był, jedynak. Ojca już dawno schowali.

Pomocnik

Nieraz, słyszałech, powiadała: „zachylę się za niego, jak za krzak jałowca, i śmielej mi." (nasłuchuje) Czy mi się zdaje, czy też jej ~~płacz~~ płacz hań słychać? Przebija się poprzez śpiew żałobny. –

Grabarz

Ja nie rozeznam.

Pomocnik

Schodzą już ku kościołowi...

(Słychać dzwony: naprzód jeden, średni, później cieńszy, a wreszcie poważnie niski - razem zlewają się ich pogłosy w melodyę żałobną.

Hanka

(dotąd nieruchomie wśród owiec stojąca, poczyna

schodzić ku cmentarzowi, jak w lunatycznym śnie-
w żałobnym ruchu w takt marszu dzwonnego.)

Pomocnik

Wnoszą go do kościoła. - Towarzysze jego
wzięli trumnę...

Grobarz

Niedługo tam obrządek potrwa. Trza się
zwijać.
(Dzwony ustają. Hanka zatrzymuje się przy żywo-
płocie. Pomocnik chyla się w dół i wyrzuca ziemię.
Nad nim, na desce siedzi pochylony Grobarz.)

Grobarz

Wtedy się najżwawiej robi, jak już nieboszczyk
w kościele. Czas się króci - przynagla - a
i to skrzepia siłę, że się już widzi oczy-
wiście, iż nie może być pomyłki że nie-
boszczyk czeka na swój kątek.

Pomocnik

A mnie jakoś nie idzie. Ręce opadają.

Grobarz

Wzwyczaisz się. Jak ci padnie i ojcu
grób wybrać, abo i żonie... Wnetbyś drugi
dla siebie pobok wybrał - a trudno. Grobarz
jesteś.

Pomocnik

(natrafia łopatą na kości jakieś, wydobywa je i podaje Grobarzowi:) Widzicie wy?

Grobarz

(odbiera i opatruje:) Ha no - Kosteczki ... Czyjeż to będą? (Patrzy po cmentarzu) Zaraz my tu zmiarkujemy... Hań ten grób znaczny pod smreczkiem jest organistów - musisz baczyć - co go ta na działach zawiało... Było to w ten „rok zmarzły". Hań znowu - gdzie ta trawa biała, leży wójt stary ... Baczę dobrze, bo wójcina tę odmienną trawę na grobie posiała, coby znak był ... Od tego grobu trza rachować ... Jeden - dwa - trzy - cztery ... (liczy dalej po cichu) jedenasty ... Wnet dojdziemy ... zaraz ... któż to po wójcie był ...? Wójt cheba umarł po wieśnie ... Tak Szymonek stary ... potem Rauda ... (rachuje dalej w pamięci) Już-ech doszedł!

Pomocnik

Któż?

Grobarz

Kocyl abo Figura, jak go zwali, co to świętych rabiał. On to - jego kosteczki ... (opatruje) tak - tak - widać - nikłe to było ...

No, juześ sie dość długo żebraku należał w jednem miejscu - pójdziesz se teraz do kostnicy. Leży ich tam spory kopczyk, bedzie wam śmielej. Wesołe to było - bacze - nieraz-ech mu sie uśmiał. Napić sie częstawo lubił. Jak zdłubał jaką figure - zaraz z nią do karczmy. Raz zrobił Pana Jezusa. Biedny to ta ten Panie Jezus był, ale był. Sumienie mu nie dało za wódkę Pana Jezusa zastawiać, ale nawykmienie ciągło. Klęknął przed Nim, złożył ręce i powiada: „Panie! Tyś mie stworzył i możesz co chcieć, ze mną zrobić... A skoro ja Cie zrobił - to sie też nie gniewaj, że Cie przepije..." I poszedł z figurą do karczmy.

Pomocnik

Toście wy mu grób brali?

Grobarz

Jakże. Cała ta kwadra od hańtego krzyża schylonego, to już moja harenda. Z gruntowałech ją już za trzecim nawrotem. Mało miejsca umarłym żywi odstępują, to trza dość często nieboszczyków przewracać na drugi bok.. Mówi sie: wieczne

odpocznienie" a daje sie ino dziesięć lat spoczynku. Jak i temu biednemu Figurze. Telo prawie, by krzyż miał czas spróchnieć. A czasem trza go i wycisnąć. (Rozpatruje sie po cmentarzu z uwagą znawcy i gospodarza) Dwoje tu ino nie bedzie ruszanych bo mają se nadgrobki z kamienia: nie-boszczyk ksiądz i gospodyni jego. Niego-dna ona tego, bo pieklarz-baba była, ale pieniądze sprawiły, że ma spokój. A nadgrobka księdzowego niema kto skoń-czyć. Pieniądze krewni rozdrapali i nie troszczą się o niego. Tak bywa... Rychło skończysz?

Pomocnik

Wnet. Jeszcze ino boki zrównam...

Grobarz

Nie przeciw sie, nie. Telo mu ta żebrako-wi w gładkim leżeć, co i w nierównym...

Pomocnik

Zawdy przecie przystojniej... (obrównuje) Dyć żebych mógł, biedaku mój, tobych cię szklanny grób zrychtował...

Grobarz

Już mu to ta jedność... w tym, czy w owym...

Pomocnik

Jakech go odwiedzał przed śmiercią po„wiedział: pochowajcie mie pod smrekiem, niech mi wiater gra...

Grabarz

Ha no, nie wypadło tak, trza sie trzymać porządku kolei...

Pomocnik

Żeby to hań - na polanach... Wyścielibych mu bukowymi liśćmi i ułożył pod ko„rzeniami najwyżniejszej jedli. A jak o głowicę jej wiatr by uderzył, toby drze„nie jej, do korzeni dochodząc, powiadało mu co wiatr szumi... Hej! - na polanach... pół wesołości hań już zmarło z Tobą... Kto bedzie grał przy sianokosach - przy grabieniu... Kto do tańca pobudzi? kto przywiedzie na pamięć zabaczone śpiewki? kto spomni dawną, starowiecką nutę? Nima już i nie bedzie takiego muzy„ki... Skończyło sie. I po co to człowieko„wi robić smak na życie, kiedy przyjdzie narzemnica i podetnie jak tego smreczka gibkiego. A i drzewo nawet dłużej żyje - prędzej sie oprze czasowi. A tu lada po„

dmuch - i nima cie - jakbyś nigdy nie był. Ani spominku o tobie. - (poczyna z pasyą wyciskować ziemię - nagle staje:) Wie, cie, ja to nijak nie mogę się oswoić. -

Grobarz

Z czem.?

Pomocnik

No z tą ... śmiercią.

Grobarz

Ba, coż się ty masz oswajać? Ty se grób bier, jakbyś dół na ziemniaki kopał i myślij se o różnościach, jak przy każdej inszej robocie. Przyjdzie czas - postarze, jesz - to ci samo każe o tem myśleć. Te, raz tobie w uszach gra młodość - to ja, koż czego inszego możesz słuchać? Sły, szysz - pewnie, ale tak, jak kiedy w kar, czmie tańczysz: - tu cię war unosi, tu ci grają, a kajś tam nieszpory śpie, wają ... A co do tego, coś powyżej przyto, czył, to ja dumam tak: Umrze świec, to wspominają go ludzie, źle abo dobrze, pokiel nie zedrą butów, co im zrobił. Umrze bednarz, to żyje w pamięci, pokąd się jego beczki nie rozlecą. Jak był

rzadkim bednarzem, to jeszcze spomną go czasem: „Ten robił dobre konewki, abo owo... Umrze człek co ma dzieci, to jeszcze wnęki, jak go za żywa baczy„ ły, przypomną... Zresztą niepamięć po„kryje - tego, jako i tamtego. Umarł na piekne i - koniec. A jak zaś trafi sie człek z talantem rzadkim, to on tak nie nie minie łacno... Widzisz kań tę dzwonnicę? (wskazuje.)

Pomocnik

Ba dyć ją wsze mam na oczach...

Gróbarz

Stawiał ją Majster z Gronia. Tak go nazywali. Bedzie temu sto roków, abo może i więcy, jak pomarł. I do dzisie„ dnia imie jego żyje. Tak i z Jaśkiem...

Pomocnik

Cicho-no!
(słychać melodyę skrzypiec od ugorów - parę taktów zbłąkanych z kołomyjki..)
Słyszycie?

Gróbarz

Dyć słyszę.

Pomocnik

Pedziałbych, że to on gra...

Grobarz

Muzyka jego się błąka... Tak, tak. Coż tak dziwnie pozierasz? Jak umarł Józek z Brzyzka, co na fujarce, jak nikt przed nim, ani po nim grywał, to długo potem jeszcze słychowano tę jego fujarkę...

Pomocnik

Dziwne sprawy... To, co najradziej grywał se idęcy. - (pokazuje uciąc) „Oj da dzina, dzina - dzina - oj da dzina, dzina da"

Hanka

(jakby i ona słyszała, obziera się z zalękiem i zdziwieniem w około - nasłuchuje - poczem wchodzi na cmentarz, zatrzymuje się co parę kroków, utykając po grobach, jak śpiąca, zbliża się z wolna, w stronę wybranego grobu. Słychać dzwony.)

Grobarz

Już go wynoszą... (zdejmuje kapelusz)

Pomocnik

(szybko kończy robotę, wyłazi z dołu, rzuca deskę

w poprzek i odstępuje z westchnieniem.–) Nigdych tak ciężkiej roboty nie spełnił...
(Słychać z dala pieśń żałobną w takt wachnień dzwonnych, tak, iż razem z melodyą dzwonów tworzy pogrzebny marsz.)

Hanka

(zatrzymuje się, opiera się o pień modrzewia i patrzy z boleścią w stronę, skąd pieśń idzie.)

~~Chór żałobny z daleka~~:

Chór żałobny ~~z daleka~~ (za sceną:):

Uciszcie sie spady, rzeki –
Pochylcie sie jedle, smreki –
Idziemy we świat daleki –
Żegnamy was już na wieki –

(Dzwony:) O Jezu!

(Na cmentarz wchodzi procesya żałobna. Niewiasty w białych łoktuszkach, chłopi w ciemnych cuchach. Czterech młodych niesie trumnę. Za trumną postępuje niewiasta w ciemne odziana chusty, w boleści pełnym ruchu:– Matka.)

Chór żałobny:

Ledwo nas w ciało odziano –
Ledwośmy sie dźwigli rano
Ledwo nam sie przejrzeć dano –
Już nas z życia wywołano –

Hanka

O Jezu! (obejmując pień modrzewia, osuwa się w omdleniu)

Chór żałobny:

Wnet zapomną ojce chrzestni -
Nie spomną bracia rówieśni -
Ślad na ziemi nie ostanie -
Wieczyste w ziemi mieszkanie -
(Dzwony) O Jezu!

(Przez dzwony i melodyę żałobną przedziera się wysokie zawodzenie matki:)

A jakeś szedł bez sioło -
Grałeś sobie wesoło...

(w obłędzie przypomina, nuci:)

„Oj da drina, drina, drina, -
Oj da drina, drina da!"

(W ruchach tanecznych dochodzi do grobu i pada na trumnę syna.)
